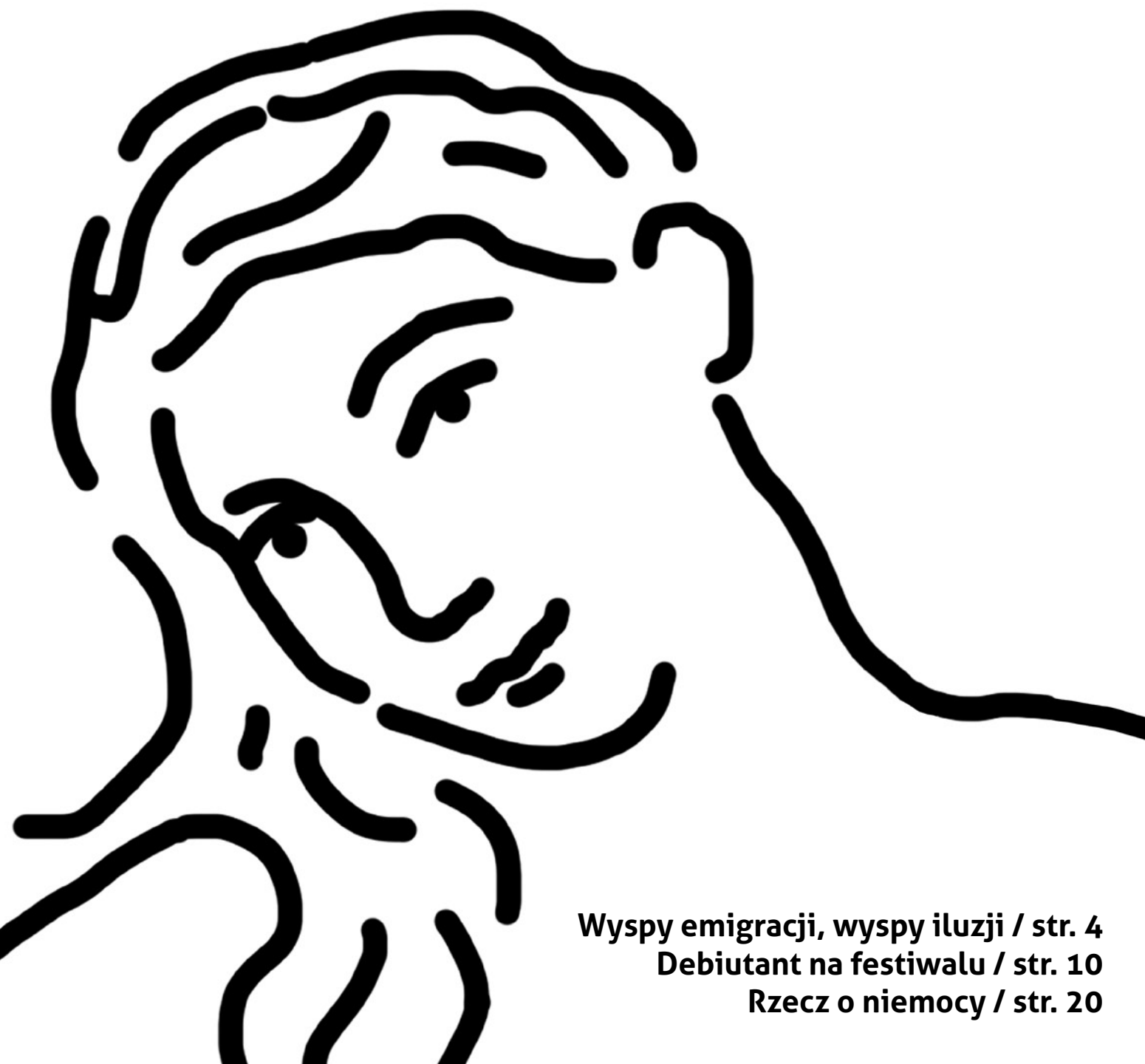


Famiaszta

46. Fama GAZ-SYSTEM Terminal Sztuki, nr 3/3



Wyspy emigracji, wyspy iluzji / str. 4
Debiutant na festiwalu / str. 10
Rzecz o niemocy / str. 20



Sponsorem Tytułarnym

46. Fama

GAZ-SYSTEM

TERMINAL SZTUKI

ŚWINOUJSCIE 15-27.08.2016

Spis treści

Wyspy emigracji, wyspy iluzji / 4
Debiutant na festiwalu / 10
Gra pozorów / 12
Lukovajanda. Czeska aktorka porno / 14
Skuteczny w spełnianiu marzeń / 16
Rzecz o niemocy / 20
Famoskop / 22
Torpeda ludu / 25

Naczelna:
Monika Stopczyk

Redakcja Famiasta:
Justyna Barańska, Agnieszka Budnik,
Magda Futyma, Łukasz Gamrot, Bogna Sayna,
Iga Hertazińska, Katarzyna Siewko, Martyna Woch

Redakcja Torpedy Ludu:
Maciej Bogustawski, Agnieszka Budnik,
Łukasz Gamrot, Marta Jankowska,
Elżbieta Łapczyńska, Joanna Łepicka,
Anna Marszałek, Kacper Płusa,
Aleksander Trojanowski

Współpraca:
Darek Foks

Projekt okładki i ilustracje:
Kaja Depta-Kleśta i Piotr Depta

Opracowanie graficzne i skład:
Jakub Zakościelny

Wydawca:
46. Festiwal Fama GAZ-SYSTEM Terminal Sztuki

www.fama.org.pl
www.facebook.com/famiasto
www.instagram.com/famiasto

Wyspy emigracji, wyspy iluzji

W jego twórczości i sercu wyspa zajmuje szczególne miejsce. Położone na 44 wyspach Świnoujście wydało się idealnym miejscem na spotkanie. Z Dionisiosem Sturise, autorem reportaży *Grecja. Gorzkie pomarańcze* i *Gdziekolwiek mnie rzucisz. Wyspa Man i Polacy. Historia splątania* rozmawialiśmy przy okazji kolejnej odsłony projektu Miejsca Literatury.

Monika Stopczyk: Spotykamy się przy okazji Festiwalu Fama GAZ-SYSTEM Terminal Sztuki, który jest przedsięwzięciem o charakterze warsztatowym i edukacyjnym. W jaki sposób Ty sam zgłębiałeś tajniki reportażu?

Dionisios Sturis: Przede wszystkim poprzez lekturę. Czytałem bardzo dużo reportaży zanim zacząłem je pisać. Na studiach miałem warsztaty z Romanem Kurkiewiczem, a zajęcia poświęcone były literaturze faktu. Co tydzień tworzyliśmy bardzo krótkie, reporterskie teksty. Prowadzący rzucał temat i każdy pisał nie mniej, nie więcej, tylko 137 słów, a następnie czytaliśmy je wspólnie na zajęciach. Do tego bardzo dużo rozmawialiśmy o literaturze, co było bardzo wartościowe.

Kiedy zacząłem pracę w radiu, nareszcie opanowałem język. Tu nauczyłem się skracania i kondensacji treści. W mojej rozgłośni standardowa depesza może trwać około minuty. Obecnie przygotowanie takiego materiału to dla mnie pestka. Teraz już wiem, jak w minucie opowiedzieć pół świata, ale jak zaczynałem, nie było to dla mnie takie proste. Chodziłem, kłóciłem się, mówiłem: „słuchajcie, tego nie da się zrobić, to jest zbyt skomplikowane”.

Umiejętność zwięzłego formułowania myśli z czasem zaczęła być coraz bardziej widoczna w moim pisaniu. Uciekam od rozległych opisów, staram się utrzymać język na wodzy, a całemu procesowi towarzyszy przekonanie, że każde zbędne słowo musi wylecieć. To się tyczy zarówno redakcji,



którą robię samodzielnie, ale także tej zewnętrznej. Ważne jest dla mnie, by nie zabierać czytelnikowi zbyt dużo czasu, zostawić go ze skondensowanym, czystym przekazem. To jest jedna z głównych reguł, których trzymam się podczas pracy reporterskiej.

Martyna Woch: Tekst pisany to nie jest jednak reportaż do słuchania. Nie obawiasz się, że ta skłonność do redukcji może być zbyt daleko posunięta?

To jest trudne, ale siadam do pisania trzymając się mocno w ryzach. Pisząc, regularnie muszę sobie przypominać, że to nie radio, że mogę dodać zdanie czy dwa i nic się nie stanie. Trzeba znaleźć złoty środek, to jest najtrudniejsze. Ryzyko jest jeszcze po drugiej stronie – mogę zupełnie puścić wodze. Miałem tak przy pierwszej książce. Kiedy tekst wrócił do mnie po redakcji, było w nim sporo zmian, skreśleń, poprawek. Przy *Gorzkich pomarańczach* miałem świetnego redaktora, poetę Adama Pluszka, który był niezwykle sympatyczny, ale jednocześnie ►



Dionisios Sturis (1983) – urodzony w Grecji polski dziennikarz i reporter. Stypendysta Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Fundacji Rządu Greckiego. Jako korespondent polskich mediów relacjonował protesty i działania ruchów społecznych w Grecji. W 2012 otrzymał nominację do Nagrody Polskiej Agencji Prasowej im. Ryszarda Kapuścińskiego w kategorii reportaż prasowy oraz nominację do nagrody Grand Press za reportaż radiowy. Jego debiutancką książkę *Grecja. Gorzkie pomarańcze* (2013) nominowano do Nagrody im. Ryszarda Kapuścińskiego za reportaż literacki. Ostatnio opublikował *Gdziekolwiek mnie rzucisz. Wyspa Man i Polacy. Historia splątania* (2015).

bezwzględny w swojej pracy – to była dla mnie najważniejsza lekcja. Przy drugiej książce było tak samo – pracy redakcyjnej towarzyszyły rozmowy z redaktorką i przekazywane w ten sposób uwagi, równie cenne. Uważam, że zawód redaktora jest nie do przecenienia. Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy rozpocząłem pracę w radiu, zacząłem pisać do gazet. Przy okazji licznych wyjazdów powstawały materiały, które później publikowałem w „Polityce”, „Gazecie Wyborczej”. Pierwszy mój tekst z Malty, poświęcony był uchodźcom przybywającym z Libii, a potem pisałem już głównie greckie artykuły. Ten czas w Grecji był intensywny, uczyłem się warsztatu będąc w ogniu wydarzeń, na bieżąco przygotowywałem materiały do radia, a następnie siadałem do tekstów dla gazet. Wisiałem na telefonie z redaktorami z Wyborczej, którzy mnie poprawiali, udzielali porad, wskazówek. Jestem osobą nastawioną na naukę i zdaję sobie sprawę, że warsztat pisania to jest jeszcze coś, nad czym muszę popracować.

M.W.: Jaką książkę poleciłbyś przeczytać, by zetknąć się z naprawdę dobrym reportażem?

Jest mnóstwo takich książek! Z ostatnich lektur na pewno *Jeden z nas. Opowieść o Norwegii* Asne Seierstad. Autorka ani razu nie przytacza w niej nazwiska Breivika, opowiadając historię nie tyle jego samego, co kraju, który go „wyprodukował”. Rewelacyjny reportaż, nominowany w ubiegłym roku do Nagrody im. Ryszarda Kapuścińskiego. Świetna jest też ostatnia książka Wojciecha Jagielskiego *Wszystkie wojny Lary*. Bardzo aktualna historia muzułmańskich uchodźców z Gruzji, którzy trafili do Europy Zachodniej. Jagielski rozmawia z ich matką, która została w Dolinie Pankisi, podczas gdy jej mąż i synowie opuścili ojczyznę. Żyjąc w bezpiecznej, może trochę nudnej Europie, synowie głównej bohaterki angażują się w wojnę i stają po stronie Państwa Islamskiego. To jest opowieść, która bardziej stawia trudne pytania, aniżeli daje na nie odpowiedzi. Dlaczego dochodzi do radykalizacji w zamożnej Europie? Czego brakuje uchodźcom czy imigrantom, że wolą jechać na niemal pewną śmierć? Historia wojenna opowiedziana z – perspektywy nieszczęśliwej matki, bardzo intymna.



Fot. Michalina Drygasiewicz, Wojciech Nowak, Piotr Semberecki

M.S.: Przygotowując się do napisania *Gorzkich pomarańczy* wykonałeś niełatwą pracę, związaną ze zgłębieniem historii swojego kraju, jego przeszłości. Do tego dochodzi poznanie realiów, kultury, wreszcie języka. Jaki miałeś plan, na przebrnięcie przez ten cały proces?

W 2009 roku pojechałem na stypendium do Grecji i wtedy faktycznie mocno podszkoliłem grecki. Przez pierwsze trzy miesiące miałem blokadę, bo wszystko rozumiałem, ale miałem kłopot z odczwianiem się. Do tego stopnia, że z innymi stypendystami rozmawiałem po angielsku. Potem, jak już się przełamałem, wszyscy byli w szoku, że tak świetnie mówię po grecku. To sprawiło, że pisząc *Gorzkie pomarańcze*, język nie stanowił już dla mnie problemu, choć przeprowadzając rozmowy do książki – z pisarzami, politykami stresowałem się, ale jakoś dawałem sobie radę. Dużo wtedy podróżowałem. Przez około sześć tygodni mogłem bezkarnie przemieszczać się po kraju i poznawać Grecję. Poleciałem na Kretę, potem przypłynąłem do Aten i stamtąd wyruszałem w inne miejsca. To było wspaniałe i pozwoliło mi przekonać się, jak bardzo zróżnicowany jest ten kraj – pod względem pogody, krajobrazu, zamieszkujących go ludzi i ich stylu życia.

Najtrudniejsze w tym wszystkim było mierzenie się z moją rodzinną historią. Rodzice się rozwiedli i ojciec został w Grecji. Utrzymywaliśmy kontakt z jego siostrami, ale z nim samym nie za bardzo. Grecja w moim sercu jest obecna, ale moja relacja względem niej jest jak relacja względem Polski, czyli *love and hate* (śmiech). Pisząc książkę musiałem mierzyć się z moim wewnętrznym wyobrażeniem na temat Grecji. Ona kojarzyła mi się bardziej ze złymi rzeczami, niż z dobrymi, właśnie dlatego, że nasza relacja była zapośredniczona przez ojca. Musiałem pracować nad tym, żeby ułożyć sobie własne stosunki z Grecją. I to trwa nadal, będąc trudnym procesem. Mam mnóstwo zastrzeżeń co do Polski. Momentami nie znoszę tego kraju, a czasami uwielbiam, tak samo mam z Grecją.

Teraz myślę o tym, by napisać drugą część *Gorzkich pomarańczy* i przyjrzeć się temu, co kryzys zrobił z ludźmi. Wcześniej pisałem o pierwszych jego przejawach, więc pewnie jak tam pojadę za jakieś dwa lata (dekadę po tamtych wydarzeniach), skupię swoją uwagę na tym, jakie są jego następstwa. Myślę, że to będzie ciekawe doświadczenie.

M.W.: Piszesz o Wyspie Man, o wyspach Grecji. Spotykamy się na Wyspie Uznam. Czy są jakieś motywy, które łączą je ze sobą?

Łączy na pewno iluzja, którą daje wyspa. Mamy poczucie, że jest to miejsce bezpieczne. Z jednej strony, kiedy wybucha wojna, to ludzie tam jadą, postrzegając wyspę jako obszar, gdzie ominie ich zagrożenie, ale co w sytuacji kiedy zagrożenie przychodzi z jej wnętrza? Kiedy nie ma stamtąd drogi ucieczki? Dużo o tym myślałem, rozmawiając z mieszkańcami. Niektórzy faktycznie czują się tam jak w więzieniu – wyjazdy są drogie, trudne. Ja nigdy nie czułem się tak na wyspie, ale być może dlatego, że miałem zupełnie inną perspektywę – jestem tu tymczasowo i wkrótce wrócę na stały ląd. Na małej wyspie, jak Isle of Man, można żyć w poczuciu, że świat jest do ogarnięcia – widać jego granice... Poznajemy miejsca, ludzi, lokalną historię, kulturę, lokalne ograniczenia, itd. Można poczuć się pewniej, jakby się miało kontrolę nad życiem, światem... To oczywiście jest złudne, ale bardzo fascynujące.

M.S.: W dużym mieście nie masz takiego poczucia kontroli?

Zupełnie nie. Szczególnie w Warszawie, w której mieszkam niecałe dziesięć lat. Dopiero niedawno się tam zadomowiłem i jest mi z każdym dniem lepiej niż gorzej, ale zupełnie nie czuję, żeby to było moje miasto, moja przestrzeń. Nie znam swoich sąsiadów, miasto jest duże, głośnie, dzieje się w nim tyle rzeczy, ludzie są zabiegani, a tempo życia jest tak szybkie, że ja nie nadążam. Kiedy jestem na wyspie, to na wszystko znajduję czas. Na jednej ulicy mam pocztę, sklep z DVD, supermarket, pub. Wszędzie idę na piechotę, są piękne krajobrazy, a w takiej Warszawie dostanie się gdziekolwiek urasta do rangi wyprawy. Absolutnie nie jestem miastowy.

M.S.: Znamy już Twój stosunek do Grecji, Warszawy. Wiemy, jak ważna jest dla Ciebie Wyspa Man. A w jakiej relacji pozostajesz z Dolnym Śląskiem i Chojnowem?

To też jest moje miejsce, ale nasza relacja jest skomplikowana. Bardzo chętnie przyjeżdżam do Chojnowa czy do Legnicy, ale jednocześnie mam poczucie, że na stałe już chyba nie mógłbym tam mieszkać. Dolny Śląsk jest fascynujący, a jego powojenna historia jest ciągle nieopowiedziana. ►

Pisząc drugą „grecką” książkę, bardzo dużo czytałem o Zgorzelcu, o Grekach, którzy zdecydowali się zamieszkać w tamtych okolicach. Jakiś czas temu miałem ochotę zrobić sobie taki reporterski tour po Dolnym Śląsku, pojeździć po różnych miejscowościach, poczytać o lokalnej historii. Zrobię to, gdy znajdę czas. Pamiętam wycieczki Niemców przyjeżdżających do mojego liceum w Chojnowie w latach 90. Organizowaliśmy dla nich przedstawienia grane po niemiecku. Polska była wtedy jeszcze szara i smutna, a oni wysypywali się z tych pięknych, luksusowych autokarów i wciskali nam po parę marek do ręki. My nie do końca wiedzieliśmy, dlaczego to ma miejsce, bo też nikt nas nie uczył przedwojennej historii tych ziem. Dla lokalnej społeczności była ona nieznana. Na pewno kiedyś chciałbym się tym zająć.

M.S.: Jeśli chodzi o południowo-zachodnią część Polski, to Filip Springer w *Miedziance. Historii znikania* w świetny i zarazem poruszający sposób przekazał czytelnikom niezwykle ciekawą historię położonej w Rudawach Janowickich Miedzianki. Miasteczka, które zniknęło.

Dolny Śląsk nadal czeka. Myślę, że takich książek powinno powstać przynajmniej kilkanaście. W Chojnowie również mam takich pasjonatów regionu. Jest na przykład kierownik domu kultury, polonista, ale on skupia swoją uwagę na dawniejszej historii Chojnowa, czasami, gdy miasto było niemieckie raczej się nie zajmuje. Przygotowując książkę, miałem spore trudności z dotarciem do informacji o Grekach mieszkających właśnie w Chojnowie – to też jest historia zapomniana. Naczytałem się mnóstwa publikacji i trafiłem na wzmianki o pochodzących z mojego miasta wybitnych Niemcach, naukowcach, noblistach, o chojnowskiej społeczności żydowskiej. O tym się nie wspomina, brakuje takich informacji w lokalnych przewodnikach, książkach poświęconych miastu. Marzę, by jak najwięcej dowiedzieć się o tych terenach i móc kiedyś o nich napisać. W ogóle uważam, że pogranicza są bardzo ciekawe i stanowią kopalnię tematów. Nawet wczoraj, wracając na rowerze z Ahlbecku do Świnoujścia, zdałem sobie sprawę, jak na takich terenach silnie wyczuwalna jest energia, związana ze zderzaniem się różnych kultur.

M.W.: Okazuje się, że wszyscy troje jesteśmy z terenów przygranicznych, to jest bardzo ciekawe pod kątem tożsamości...

Tak, z natury rzeczy ludzie z pogranicza muszą się pytać, kim byli ich przodkowie, jaka jest ich historia. Jednak każdy, kto gdzieś wyjeżdża, musi mierzyć się z tym, że jego tożsamość nie jest jednolita. W naszym pokoleniu doświadczenie migracji jest powszechne. Ludzie wyjeżdżają do pracy, na miesiąc, dwa, dłużej. To, co przyjmujemy z innych kultur, zmienia nas. Nasza tożsamość ciągle ewoluje, nie wiadomo, kiedy ten proces się zatrzyma, ale pytanie też, czy jest potrzeba, by tak się stało?

Przy okazji pierwszej wydanej książki często byłem pytany o to, czy jestem bardziej Grekiem czy Polakiem. Na takie pytanie nie ma odpowiedzi.

Jednym z bohaterów mojej kolejnej książki jest Kostek Christou, szef Towarzystwa Greków w Szczecinie – bardzo aktywny w środowisku mniejszościowym, usilnie starający się o to, aby Grekom nadano status mniejszości narodowej, by pojawiły się środki finansowe na kultywowanie greckiej tradycji, kultury. Christou jest pierwszym pokoleniem uchodźczym, przyjechał do Polski w 1948 roku, więc prawie całe jego życie to była wielka nadzieja na powrót do Grecji, co za tym idzie, on ma zupełnie inną optykę, u mnie to wygląda inaczej. Dla mnie to kwestia nabierania na bilet, kupienia go i wylotu. Jestem trochę Polakiem, trochę Grekiem, trochę Manxem. Te tożsamości we mnie współgrają, choć od Greków często słyszę, że skoro mój ojciec był Grekiem, to i ja jestem Grekiem. Koniec kropka. Już się z nimi nie kłócę – oni wiedzą swoje, ja swoje. Przyznam, że mimo iż temat uchodźców jest jednym z głównych zagadnień, jakimi zajmuję się radiu, mam duży problem z tym, jak o nich pisać. Wydaje mi się, że kluczem może być przypominanie o historii, o tym, że mieliśmy epizody, kiedy potrafiliśmy pomagać i nic złego z tego nie wynikło. Temat uchodźców jest obecnie najważniejszym wyzwaniem. Myślę, że mierzymy się z olbrzymim problemem i jako społeczeństwo przegrywamy, bo odmawiamy ludziom w potrzebie podstawowej pomocy. A jestem przekonany, że mogłoby być inaczej.

Monika Stopczyk
Martyna Woch

GAZ-SYSTEM

fundatorem nagrody
Trójzęb Neptuna
- dla najlepszego wydarzenia
artystycznego festiwalu.

Rozdanie nagród na koncercie
finałowym „WIWATY I KWIATY”
w Amfiteatrze 26 sierpnia o 20:30



Debiutant na festiwalu

odc. 3 | Wygaszanie relacji

Pusta butelka spada na podłogę obok łóżka. Dźwięk pękającego serca. Parno i duszno. Świnoujście. Widzę, że mój współlokator nie śpi. Nasze spojrzenia spotykają się z mokrym od nienawiści chlupotem. Kuba mógł się nie wyspać. Przypominam sobie godzinę piątą nad ranem i tłum ludzi, który wtoczył się do pokoju. Szymon mówi spostrzega leżącego na stole Sapkowskiego. Nachyla się nad Kubą i rozgorączkowany pyta o to, jak nazywa się szkoła wiedzminów. Kuba traci jedną szansę. Szymon daje mu drugą. Kaer... Kaer... Kuba otwiera oczy: Kaer Morhen. Wszyscy biją brawo, skąpo ubrana kobieta przynosi kuferki, rozdaje nagrody. Ruszamy dalej. Nie pozwalają mi odpalić gaśnicy. Zastanawiam się dlaczego Odpowiedź nasuwa się sama: nic tutaj nie płonie. Oflag nocą, wszyscy serdeczni i rozmowni; poklepujemy się po plecach i mówimy, że było pięknie, że dziękujemy i ten mały zaklęty w naszych sercach chłopiec dostaje kolejną porcję waty cukrowej. Zaczynam się zastanawiać, kiedy ludzie wyrosli z umiłowania do czulej brutalności, do naparzania metalowym prętem słowa po nerach. Robię słam i mówię ze sceny, że coś jest nieśmieszne. Wracam na Oflag i dostaję z buta w ryj.

– Gamrot. Nie możesz tak robić! – krzyczy do mnie jedna z dziewczyn – nie możesz ludzi obrażać na scenie, bo oni mogą mieć kruchą osobowość, bo ich to rani, bo przez ciebie nie wyjdą na scenę przez następnych siedem lat. Zaczynam kwilić. Pytania o sens życia, wybrzeża piekieł i wwiercającą się w czaszkę nudę pojawiają się same, pulsują i nie dają spokoju: Gdzie do chu** podzieli się starzy punkowcy? Patrzą na te wykrzywione wściekłością twarze i próbują skrócić pozycję dystansu, znaleźć się w ich pretensji, przefiltrować przez pragnienie do zadawania sobie ran.

Czuję wewnętrzną potrzebę usłyszeć, jaki to ja nie jestem zajebisty. Zachodzę na obiad do babci. Między kluską śląską a mizerią widzę umiłowanie w oczach kobieciny; umiłowanie do tego zniszczonego alkoholem grubasa, który zawsze

będzie jej lukrowanym pieszczochem. Czterdzieści minut później mam dość. Jadę na festiwal artystyczny. Ha! Więcej niż artystyczny: akademicki. Pamiętam, że rozpocząłem doktorat, bo bardzo brakowało mi tego intelektualnego podniecenia, wibracji, która drzemie w komórkach intelektualnych młodych ludzi. Poddawania w wątpliwość i mierzenia się ze swoimi wyobrażeniami o świecie. Pewnie jestem naiwny, ale jako zazwyczaj takimi osobami udawało mi się otaczać. Wysiadałem na dworcu w Świnoujściu. Poznałem chłopaków z Kuźni, Szymona, Sviernalisa, gości od Maxa Brawury, Łukasza z Bałut, kumpli z sekcji dziennikarsko-literackiej, Anię z produkcji, Kubę i wielu wielu innych, z którymi demolujemy monopolowy, gadamy o sztuce i siejemy zgorszenie. Spotykam ludzi, którzy mają coś do powiedzenia, którzy robią albo próbują robić sztukę. Próbuje coś wykrzyczeć i zniszczyć. Wbić kawałek ostrego drutu, w ochronną błonę rzeczywistości. Przebić się do osocza i zobaczyć czy było warto. Pomylić się, upaść, konfrontować. Wątpię, więc myślę – najpiękniejsza i zapomniana fraza Kartezjusza. Pamiętam, że miękką pościel samouwielbienia zostawiłem w 2007 roku w Pszczynie u starych na strychu. Wyruszyłem na wojnę. Krótkie chwile przydechu zdarzają się między niedzielą wyprawą do kina, a winem w parku. Zawieszenie broni, bo ileż można, ale potem ranne wstają zorze i przeczesujemy teren w poszukiwaniu wroga. Wszyscy przeciw wszystkim. Ranię, bo sam chcę być zraniony. Z języka tryska krew. Jucha zalewa korytarze i wylewa się na Oflag. Miesza z benzyną, z tym słodkim energetykiem młodości i buntu. Marzenia. Gdzie jest bunt, gdzie jest prowokacja? Naprawdę jesteśmy tak małostkowi, żeby przywiązywać uwagę do słów obcego gościa, gadanych o drugiej nad ranem, w dusznej knajpie, w, kurwa, Świnoujściu? Jeżeli coś takiego potrafi nas zranić, powinniśmy owinąć się bawełnianymi matami i zakopać w podgrzewanym piasku. Nie wiem, wybrać się w Bieszczady i doić owce. Tylko broń Boże, nie bierz się za sztukę, bo za kilka lat zeskrobiemy twoją rozoraną osobowość z nasypu kolejowego.

Pozwólmy sobie na jeden z najpiękniejszych prezentów jaki jeden człowiek jest w stanie dać drugiemu: pretekst. Wychodzisz ze strefy komfortu i musisz się zbuntować. Zaczyna się od języka. Bunt zawsze zaczyna się od języka. Zagrajmy we wspólną grę, która nazywa się mówieniem prawdy.

– Gamrot jesteś słaby. Mdlisz mnie. Gamrot twoje żarty mnie nie śmieszą, za to ty bardzo. Super. Naprawdę, pierwszy raz w życiu spotykam się z taką opinią. Bardzo mnie krzywdzi. Zamknę się teraz w sobie i będę analizował linie papilarne porażki zwanej czasem moją osobowością. Mam tylko pytanie kolego: dlaczego? Jaki jest kolor i konsystencja tego, co cię irytuje? Nazwij to w sobie. Dotknij. Pomyśl przez moment i potem krzycz sobie ile wlezie. Pozbieraj też koleżanki i zróbcie to wspólnie. Pokój 21, drugie piętro, drzwi zostawię otwarte.

Dzwonię do mamy i mówię, że mnie nie lubią. Nie jest specjalnie zaskoczona. Pyta, czy biją. Mam nadzieję, że zaczną, bo przygotowałem zabawki. Opowiadam mamusi, że używanie konkretnych kobiet w tekście może być źle odebrane. Muszę przeproszać. Nie ukrywam, że mam w tym niejakie doświadczenie. W przepraszaniu rzecz jasna. Okazuje się, że jestem pociągającym mężczyzną, którego ktoś traktuje serio. Głos w słuchawce podpowiada, że raczej tak nie jest, a ludzie traktują serio siebie samych. Trybunał społeczny skazuje na potępienie. Muszę przeproszać Monikę z produkcji. Przepraszam. Zastanawiam się gdzie podziałą się cała czuła sympatia z początków naszej znajomości? Myślisz o jakimś kursie empatycznym. Mama mówi, że już się na taki dostałeś i nazywa się małżeństwo. Przypominasz sobie, że faktycznie tak się stało, tyle, że zostałeś sam. Alkohol nie służy budowaniu wizerunku. Znowu musisz przeprosić Monikę. Przepraszam.

Poranek. Pytam się koleżanki, czy jest na mnie zła, bo wcześniej świetnie się dogadywaliśmy, bo ją polubiłem, bo sama była konkretna. Pamiętam jak wyrzucała pijanego kolegę na początku festiwalu, pijanego i naprawdę poważnie chorego. Tabletek nie wziął już kilka dni. Chce mu wydłubać oczy. Dziwne. Koleżanka odpowiada, że jest zniesmaczona. Uśmiecham się od płuca do płuca (bo w środku trochę się jednak boję zniesmaczonych kobiet). Otrzymałem właśnie najpiękniejszy komplement na Famie. Zastanawiam się, ile można jeść ciepłą zupkę i masować się po brzuszku. Chciałbym żeby mi opowiedziała o tym zniesmaczeniu. Wytlumaczę,

dlatego u mnie wygląda to inaczej. Dlaczego prowokacja jest czasem istotna. Ponownie pojawiają się pytania o sens życia, piekło i nudę: Gdzie do chu** podzieli się starzy punkowcy? Gdzie podzieli się starzy punkowcy? Gdzie podzieli się festiwale, które sięją mordor, zmieniają świat albo przynajmniej ludzi, którzy właśnie w tym celu tam jadą. Zaczynam się lekko irytować. Między jedną zduszoną w sobie uwagą a drugą, powtarzam, że grzeczni to mogą być chłopcy na Radomskim Przeglądzie Zespołów Różańcowych. Wydaje mi się, że ludzie inteligentni po prostu muszą od czasu do czasu oderwać mięcho, wejść pod skórę, wbić drzazgę pod paznokieć komfortu. Bez tego nie ma sztuki. Potkniemy się kilka razy, walniemy twarzą o beton, będziemy musieli przeprosić, wytłumaczyć. Bardzo dobrze. Pretekst. Pretekst. Pretekst. Musimy się potykać, musimy rozpalać ogień w dorzeczach łódźwi, wypływać z siebie flegmę, poszukiwać. Pozwolić sobie na prawdziwą inspirację, na przeniknięcie w struktury własnej wygody. Rozgośćcie się we mnie kochani. Zapraszam. Nie jest pięknie, ale z pewnością ciekawie. Poza tym, nie wydaje mi się, że ktoś napisał już poradnik bezstresowego robienia kariery. Ciekawe dlaczego? Myślę, mój drogi czytelniku, że nie jesteś naiwny i wiesz, że świat jest zły, że należy do wyznawców Szatana i gości, którzy grają w PokemonGO. Będzie więc coraz gorzej, więc daj mi coś, co będę mógł kiedyś wykorzystać. Przypomnieć sobie tę rozmowę, tę sytuację i ograć ciuli doświadczeniem. Dajmy z siebie coś więcej.

Drugi tydzień to przydech i zwolnienie. Rozpoznawanie kształtów i znaczeń. Zakochałem się w tej Famie, w miejscu, w którym spotkałem naprawdę zajebistych ludzi. Wypiliśmy hektolitry alkoholu, pośmialiśmy się, pogadaliśmy o wspólnych projektach. Wróć do domu i powiem, że fajne wakacje. Fajne. Odbija mi się. Przypominam sobie festiwal robiony przez Bursztę we Wrocławiu. Port Wrocław 2007. Razem z Witkowskim i Pułką musieliśmy trzykrotnie wracać przez okno, bo rozebraliśmy się do naga i próbowaliśmy robić choreografię do wierszy Marcina Świetlickiego. Potem Marta Podgórnica opowiadała o tym, dlaczego brzydkie kobiety piszą wiersze i mają otwarte ciała. Sendecki wziął moje wiersze i powiedział, że gówno. Miałem 18 lat. Nie zgadzałem się z nim, ale siadł i wytłumaczył. Rok później przybił mi piątkę. Pamiętam bójkę w holu Impartu. Poszło o miejsce sztuki w życiu człowieka. Jedni byli za tym, że życie jest sztuką, a inni, że jest tylko jej skarłowaciałym bratem. ►

Pamiętam, jak podrywaliśmy dziewczyny frazami z Foksa. Nikt nie zaliczył. Może byliśmy młodzi, może byliśmy głupi i bezczelni, ale ludzie zderzali się ze sobą i nie pozwalali sobie na obojętny uśmiech. But w twarz. Odpowiadasz na pytania: dlaczego? Nie ma, że gówno. Udowodnij. Dołączają

się kolejne osoby. Dyskusja o sens życia, literaturę i następną kolejkę wódki wylewa się na ulicę. Zalewa miasto i nasze gardła. Miesza się z benzyną skapującą z naszych serc. I uwierzcie, że ludzie w tych czasach bili się tylko o to, kto może pierwszy podłożyć ogień. Siema.

Łukasz Gamrot

Gra pozorów

Skomplikowana sieć, bezpieczny kokon - łatwa droga, śmiertelna pułapka. Pajęczyna mieni się w słońcu, nadchodzić babie lato.

*Strach ma wielkie oczy,
a pająki mogą mieć ich nawet cztery pary.
Do tego osiem nóg.*

*Araneae octo crura habent. Pająki mają osiem nóg.
Lęk cię oszuka i poprowadzi. Powie: obawiaj się
pająka, ponieważ jest niegroźny i pożyteczny,
a ty będziesz mu posłuszny.*

*Znajdziesz się w przestrzeni nieprzyjemnej
i zostaniesz nagrodzony.*

*Kiedy poczujesz się już bezpiecznie, być może
zrozumiesz, że daleś się zwiść.*

Projekty Wydziału Scenografii Uniwersytetu Artystycznego z Poznania, w których miałam możliwość uczestniczyć w latach 2012-2014 w budynku Hali Basenu Północnego, zawsze były ekscytujące. Spowijała je aura tajemniczości, bowiem UAP, określany też jako po prostu „Poznań”, to ci, których nigdy nie było widać, a ich obecność zaznaczały tylko obiady pakowane na wynos i zakaz wchodzenia do Hali Basenu Północnego na czas budowy. Samo tworzenie instalacji zajmowało zazwyczaj kilka dni, a zwiedzanie trwało najwyżej kilka godzin, wywołując uczucie wyjątkowości oraz efemeryczności.

W tym roku Poznań zaszył się w budynku Enea – Posterunek Energetyczny. Jednak ku mojemu zaskoczeniu, spotkałam parę razy opiekunkę artystyczną z UAP, Martę Wyszyńską, poza

miejszem pracy – zarówno na Oflagu, jak i w Scenie. Zaintrygowana zapytałam: jakim cudem? Na co Marta odpowiedziała, że sama jest pod wrażeniem, ale w tym roku jej grupa jest bardzo zdyscyplinowana, w porywach jest w niej 9 osób i praca idzie bardzo sprawnie. Mimo to, autorzy zmagali się z przygotowaniami przez 3 dni, po 12 godzin pracy.

Odsłonięcie i udostępnienie zwiedzającym instalacji Aranea miało miejsce 21 sierpnia. Osoby przychodzące na otwarcie, które miały przy sobie torby lub torebki, były proszone o pozostawienie ich przed wejściem, pod czujnym okiem artystów. Był to pierwszy sygnał, że w środku czeka nas coś niezwykłego. Kiedy przekraczało się próg sali, człowiek wchodził do zupełnie nowego świata. W pierwszej chwili w oczy rzucała się płatanina śnieżnobiałych lin, pasów, sznurów, sprawiających wrażenie skomplikowanej konstrukcji. Nad wszystkim dominowało niebo widoczne przez olbrzymie okno. Kiedy zwiedzający oswoili się z grą sztucznego oświetlenia oraz naturalnego, wpadającego przez okno światła, mogli dostrzec poruszającą się białą postać. Pajęczycza zgrabnie przemieszczała się wśród nitek własnej sieci, przyglądając się ludziom, którzy zaczęli się przez nią przedzierać. Widzowie początkowo dość niepewnie, lecz z biegiem czasu coraz śміiej, eksperymentowali z materią pajęczyny. Jedni poprzestawali na badaniu ruchu pośród wici, inni spostrzegali kokon i starali się do niego dostać. Jego środek okazał się miękki, lekko wygłuszony, oddzielający od dyskusji ludzi oraz niepokojących dźwięków muzyki. Sprawiał wrażenie bezpiecznego do momentu pojawienia się w nim pajęczycy. Wtedy człowiek odcięty od wyjścia zdaje sobie sprawę, że nie może z niego tak łatwo uciec.

Drugiego dnia udało mi się trafić na moment, kiedy nikogo nie było w środku. Instalacja milczała, a jedynym światłem było wpadające słońce, którego promienie mieniły się między poszczególnymi fragmentami pajęczej sieci. W tle ciągle widoczne było niebo. Aranea wprawdzie trwała nieruchomo, jednak gra promieni oraz obłoki sunące niespiesznie po niebie, sprawiały, że stałam jak zahipnotyzowana. Przestrzeń z jednej strony było monumentalna, z drugiej zupełnie ulotna.

Po krótkim czasie pojawili się pierwsi zwiedzający – mama z dzieckiem. Początkowo nieco zawstydzeni, niepewni. Kobieta odruchowo trzymała syna za rękę, nie będąc pewną czy instalacja jest tylko do oglądania i czy nie będzie trzeba strofować dziecka znanym wszystkim „nie dotykaj”. Malec już przebierał nogami. Ostatecznie pojawili się studenci, puścili muzykę i zachęcili do penetracji pajęczej sieci. Niestety w instalacji brakowało jednego elementu, ponieważ pajęczyna musiała już wyjechać. Przez chwilę z zaciekawieniem obserwowałam dziecko, które nie potrafiło się zdecydować czy nitki parzą i powinno ich unikać, czy jednak są lepkie i droga przez nie prowadzi poprzez stały dotyk. Obie opcja wydawały się być równie intrygujące...



Fot. Sandra Stanisławczyk

Korzystając z obecności twórców przeprowadzam krótką rozmowę. Część grupy niestety musiała już wyjechać. Rozmawiam więc z trójką studentów: Sandrą Stanisławczyk, Jakubem Olegiem, Kacprem Kajzderskim, a także z Martą Wyszyńską, opiekunem artystycznym projektu. Okazuje się, że chłopaki nie są z wydziału scenografii i zjawili się tu trochę z ciekawości, trochę przez znajomych. Jednak obaj twierdzą, że praca nad realizacją Aranei sporo ich nauczyła. Najbardziej interesuje mnie, jak przebiegał proces powstania instalacji oraz praca z przestrzenią. Podczas tego pytania uczestnicy uśmiechają się i wymieniają porozumiewawcze spojrzenia. Jedyną osobą, która była w tym miejscu wcześniej jest Marta. Znała też obostrzenia związane z budynkiem – żadnych gwoździ, przymocowywania czegokolwiek takerem, zerowa ingerencja w strukturę ścian. Jak dla mnie – same trudności, dla scenografów – wyzwania. Sandra mówi, że była to wspaniała możliwość sprawdzenia w praktyce, tego, o czym uczą się w ciągu roku akademickiego. Budowa krótkoterminowego przedsięwzięcia sprawia, że trzeba podejmować decyzje bardzo szybko, a na pytania należy szukać odpowiedzi w praktyce. Sporym wyzwaniem okazały się okna, które tak wiele osób zachwyciły. Początkowo grupa planowała na wszelkie możliwe sposoby je zasłonić. Jednak widząc, że zajmuje im to sporo czasu i nie daje pożądanego efektu stwierdzili, że zamiast walczyć z przestrzenią, spróbują z nią współpracować, biorąc za przykład pająki, o których sporo się naczytali przygotowując się do realizacji przedsięwzięcia. Ostatecznie materia i miejsca dały się okiełznać. Aranea – pajęczyna zostaje zbudowana, aby po trzech dniach zniknąć... Pajęczyna rusza dalej.

Martyna Woch

muzyka: Sylwia Nowastowska

tancerka: Alicja Jasińska

ARANEA – Punkt. Przędza. Kurs. Zagęszczenie. Brzmienie. Sieć. Połączenie. Układ. Płynność linii. Uspokojenie kompozycji otoczenia. Uporządkowanie i zorganizowanie istotnego zarysu. Całość poza cieniem formuje kształt i daje ukojenie. Początek jest podstawą. Budujemy obraz na bazie pozornych odczuć, nie uwzględniając ich zmienności i wieloznaczności.

REALIZATORZY – Natalia Borys, Sylwia Nowastowska, Sandra Stanisławczyk, Jakub Oleg Wojciechowski, Ewelina Bunia, Kaja Gawrońska, Alicja Jasińska, Kacper Kajzderski

OPIEKA REALIZACYJNA – Marta Wyszyńska

Lukovajanda.

Czeska aktorka porno

Siedzisz przy stoliku w Scenie. Dni zlały się już w kolorową i pulsującą plamę. Zmęczony wyciskasz ze szklanki ostatnie krople umiłowanego napoju. Słyszysz, że pojawił się kolejny zespół. Nie zapowiada się wyjątkowo, więc po prostu wlepiasz wzrok w rudą brodę wokalisty. Mówią, że nazywają się Shapeless i zaraz zrobią szum. Przyjechali z Kielc.

Michał berliński uderza w struny gitary. Duszne i ciężkie powietrze zaczyna falować. Podobnie publiczność. W tle słychać pianino, to Piotr Sitkowski zaprasza swojego kolegę z zespołu do wypełnienia przestrzeni dźwiękami. Groove i feeling. Kuba Chaba. Chłopaki uśmiechają się i już czują, że podłoga pod stopami publiczności zaczyna drżeć. Sylwester Kowalik dopełnia kompozycję pełnym brzmieniem basu i następuje erupcja. Marek Filipiak śpiewa. Dziękuję, pozamiatane. Okazuje się, że tego dnia Famy nie zapomnisz nigdy. Pod sceną tańczy kilkadziesiąt osób, głównie młode kobiety. Cała sala w okamgnieniu wypełnia się po brzegi. Tańczysz do utraty tchu, bo boisz się, że za chwilę skończą, a tak dobrze nie bawiłeś się już dawno. Dlatego dzisiaj skoro świt łapię wokalistę i próbuję zadać mu kilka pytań dotyczących końca świata, muzyki poważnej i technik maglowania prześcieradeł.

Łukasz Gamrot: Pamiętasz imię tej czeskiej aktorki porno, o której mówiłeś na koncercie?

Marek Filipiak: (śmiech) Lukovajanda, ale to był żart.

Żarty żartami, ale ja (stuk klawiatury i uśmiech zadowolenia)... dodaję ją do ulubionych (śmiech). Teraz zupełnie poważnie. Obiecałem wczoraj trzydziestu siedmiu kobietom i czterem pięknym mężczyznom, że zapytam: masz dziewczynę?

Nie.

To teraz przyznaj się, jak często po tak energetycznym koncercie sobie ją znajdujesz?

(śmiech) Nigdy. Ja jestem grzecznym chłopcem, porządnym.

Uporządkowanym?

W żadnym wypadku. Podobnie jak nasza muzyka. Każdy jest wyjęty z innej bajki, innej przestrzeni muzycznej. Każdy z nas słucha innych zespołów i w pewnym momencie spotykamy się na scenie. Piotrek odpala syntezatory, ja chwytam za saksofon i startujemy raketę.

Czyli nie byliście zaskoczeni, że tak się podobało?

Totalnie tak! Jesteśmy z Kielc, wiesz, miasta Liroya. Nigdy nie graliśmy poza Kielcami, więc to przyjęcie nas na maksa zaskoczyło. Od rana chodzę i uśmiecham się od ucha do ucha, przybijając sobie piątki z wszystkimi. Ekstra! Jesteście naprawdę zajebiści.

Zaskoczyłeś mnie, ale przyznam, że patrząc na waszą lekkość, kontakt z publiką i żywe emocje, które cały czas dało się wyłapać, mogło to być albo gigantyczne doświadczenie albo faktycznie naturalność, radość z muzyki.

My po prostu gramy muzykę i tyle. Teraz jest tak, że albo chcesz robić szmal albo grasz dla funu. My podpisujemy się pod tym drugim. Muzyka nas cieszy i pozwala na odreagowanie...

Kielc?

(śmiech) Dobre. W Kielcach w ogóle jesteśmy jedynym zespołem grającą taką muzykę. Nikt tego nie robi.

Jaką muzykę?

Ech... ciężko sprecyzować. Słyszałeś koncert. Zaczyna się delikatnie. Malujemy obraz dźwiękiem. Później dochodzi plum, plum, plum na klawiszach i bas, no a po chwili bang, bang, bang i szuuuuuu ruuuu a a a. (śmiech). Robimy muzykę dla zabawy. Czasem poważną i ze środka, a czasem funk i tańce na barze. Chcemy żeby był fun, zajawka. Przekazujemy energię. Chcemy stać się na chwilę całością.

Tworzenie całości to u was od początku temat istotny. Nazywacie się „bezkształtnym”, mówisz, że każdy jest wyjęty z innej półki muzycznej. Jak udało wam się połączyć w tak jednorodne brzmienie?

Wolność wyrazu. Jazz. Improwizacja. Nie narzucamy sobie niczego nawzajem i to chyba tyle. Zabawne jest to, że mamy pięcioosobowy zespół, który zawiera w sobie trzy składy weselne.



Fot. Irina Rychkova

O, jakbym wiedział rok temu, to bym was brał na swoje. Szkoda. I co, lubicie imprezki w Januszowicach?

Bronowicach (śmiech). Na Famę jechaliśmy prosto z wesela. Wskoczyliśmy w auto o trzeciej i jesteśmy. A co do grania, to jest nawet spoko, bo ja lubię grać nowoczesną muzykę, a są pary, które nie chcą słuchać *Białego misia*. Najgorsze jest, jak wujek Bogdan wymięty i opluty, śmierdzący starą zupą nachyla się do ciebie i mówi, że teraz *Zielone oczko*. Oczywiście tytułu też nie pamięta i zaczyna podrzucać melodię. Tragedia. Ale wszyscy grają wesela. Taka doła muzyka.

...z Kielc (śmiech). Ale Ty mi lepiej powiedz, czy macie jakiś plan na najbliższy czas?

Chcemy nagrać płytę. Long play'a. I koncertować dalej niż w Kielcach. Mamy nagrane demo – zamówiłem paczuszkę na adres Famy, więc powinna przyjść jakoś jutro. Pełna, długogrająca płyta to oczywiście plan na najbliższy czas, ale my chcemy przede wszystkim grać, grać, grać. Moc, energia, amfetamina (śmiech).

Gracias i do usłyszenia w trasie. Wpadajcie na Śląsk!

Dzięki!

Łukasz Gamrot

Skuteczny w spełnianiu marzeń

Jacka Niezychowskiego najprościej opisać dwoma słowami: człowiek renesansu. Grał, pisał, śpiewał, gotował. Przez dwadzieścia lat szerzył polską kulturę w Ameryce. Po powrocie do Polski zamieszkał w Świnoujściu, gdzie związany był między innymi z Festiwałem Fama. O kabarecie w Stanach, domu pełnym ludzi i miłości do starych samochodów opowiada jego żona – Magdalena Niezychowska.

Famiasto: Jaka jest historia Państwa miłości?

Magdalena Niezychowska: Między nami było dwadzieścia siedem lat różnicy. Pierwszy raz spotkaliśmy się, gdy byłem dzieckiem, miałam może cztery lata. Jacek przyjechał wtedy do Międzyzdrojów z Operetką Szczecińską i przedstawieniem *Zemsta nietoperza*. Kręciłam się, jak to dziecko, gdzieś obok sceny, a Jacek wpadł na pomysł, żeby jakaś dziewczynka wręczyła po spektaklu kwiaty aktorom. I wybrał mnie. To było nasze pierwsze spotkanie. Następne miało miejsce około dziesięć lat później. Niezychowski robił słynne Non Stopy w Międzyzdrojach, na których wybierano najsympatyczniejszą dziewczynę. Głupio się chwalić, ale wygrałam te wybory. Myślę, że udało mi się to, bo byłam najmłodsza ze wszystkich startujących tam dziewczyn, a Niezychowski był wtedy przewodniczącym jury. Minęło kolejnych dziesięć lat. Pracowałam w Estradzie Poznańskiej, kiedy na Międzynarodową Wiosnę Estradową przyjechał Jacek. Przyszedł do działu produkcyjnego, w którym pracowałam, popatrzył na nas wszystkich, po czym poszedł do mojego dyrektora i powiedział: „chcę pracować z tą panią, bo ona jedyna coś tam robi”. Broniłam się przed tą pracą, bo wiedziałam, jak ona będzie wyglądać. Próbowałam wymigać się napiętym grafikiem, innymi obowiązkami, ale się nie udało. Pamiętam, że po powrocie do domu powiedziałam do mamy: „przyjechał Niezychowski

i bardzo chce ze mną pracować”. Na co moja mama odpowiedziała: „to się źle skończy. Trzeci raz. To musi się źle skończyć”. I miała rację. Chociaż muszę przyznać, że długo się o mnie starał.

Bycie żoną sławnego człowieka nie należy chyba do najprostszych zadań. Zawsze pozostaje się jeden krok w tyle.

To prawda, zawsze najważniejszy był Jacek, ale uważam, że udało mi się wybronić. Po prostu robiłam swoje, nie oglądałam się na sławnego męża. Owszem, na bankietach byłam żoną przy mężu, ale poza tym miałam własną pracę, zainteresowania, które czasem nawet nie za bardzo podobały się Jackowi. Uważał na przykład, że sama powinnam pisać zamiast czytać setki książek. Ale mnie udało się nie zatracić w tej sławie męża, z czego jestem dumna.

Przez dwadzieścia lat mieszkali państwo w Ameryce. Przeprowadzka była Waszą wspólną decyzją?

Wspólna, świadoma decyzja, ale także konieczność. Kiedy byliśmy już w Ameryce, w Polsce ogłoszono stan wojenny. To spowodowało, że postanowiliśmy zostać za granicą na dłużej. Trochę nas było. Wszyscy ci, którzy przyjechali przed stanem wojennym, zostali tam tak samo jak my. Wtedy w Stanach było dużo lokali polonijnych i w weekendy zawsze można było zobaczyć występy artystów z Polski. Starsza Polonia uważała, że trzeba nam pomagać, bo nagle zostaliśmy bez ojczyzny, bez niczego.

Jacek założył w Ameryce kabaret. Charakteryzował się tym, że wszyscy, którzy tam pracowali, występowali też na scenie. Były tak zwane aukcje: na tablicy zamiast tego, co można zjeść, mieliśmy piosenki. Każdy mógł licytować, co chciał usłyszeć

– tu dwa dolary za piosenkę, tam pięć dolarów... Wybrana kelnerka musiała ją wyśpiewać. Z tym, że to były dziewczyny z chórków, więc rzeczywiście dawały sobie radę; to nie były zupełne amatorki. Nawet kucharka śpiewała! Dużo nas było...

Z rozmaitych anegdot wynika, że Wasz dom zawsze był pełen ludzi.

My generalnie mieliśmy w Stanach dom otwarty dla każdego, ale nikogo nie musieliśmy zapraszać. Goście po prostu byli. Zawsze milej niż w pokoiku hotelowym – zawsze lepiej u Jacka, który doskonale gotował, w związku z czym jedzenia zawsze było pod dostatkiem. Świetnie się żyje z facetem, który potrafi gotować, pod warunkiem, że się nie jest podkuchenną. Ja wiele razy byłam na tym stanowisku. Poza tym Jacek charakteryzował się tym, że jak w kuchni było dziesięć łyżek, to na pewno dziesięć musiało zostać pobrudzonych. Wszystko było brudne! A ja jeszcze w Ameryce uważałam, że przy dwóch osobach zmywarka nie jest potrzebna. Wybaczałam mu to, bo przygotowywał

najlepszy boeuf strogonow. Wydał nawet książkę kucharską, ale dopiero po powrocie do Polski. Kolejnym hobby Jacka były stare samochody. Im bardziej się psuły, tym były lepsze, bo mógł coś przy nich dłubać, naprawiać je, ulepszać. W Ameryce był taki okres, gdy miał siedem samochodów. Nie pamiętaliśmy już nawet, gdzie te samochody są zaparkowane.

Jakich ludzi spotykali państwo w Ameryce na swojej drodze?

Roszczeniowych. Tym, którzy przyjeżdżali po stanie wojennym wydawało się, że absolutnie wszystko im się należy. Byli zdania, że nie muszą pracować, bo przeżyli stan wojenny w Polsce, więc trzeba im dawać dolary. Przecież w Ameryce dolary rosną na drzewach! Bardzo byli zdziwieni, że jest inaczej. Polacy nie byli sztuczni, natomiast Amerykanie... Na przykład słynne: how are you? Rękę mu odjęli, córka mu umarła, a Amerykanin i tak powie, że jest świetnie. Chociaż może i to jest lepsze podejście niż u nas, gdzie wszyscy narzekają. ►



Fot. Archiwum redakcji

Czy trudne było dla Was zderzenie z polską rzeczywistością po powrocie ze Stanów?

Dla Jacka nie było żadnej różnicy, bo on twierdził, że gentleman na świecie nie ginie i jeżeli w Ameryce sobie poradziliśmy, to i w Polsce, po dwudziestu latach nieobecności, też damy radę. No, może poradzilibyśmy sobie dużo lepiej, gdyby on chciał się zahaczyć w Warszawie albo okolicy, jednak twierdził, że jak będzie potrzebny, to wszędzie go znajdą, co moim zdaniem nie było prawdą. Czy się odnaleźliśmy? Powiedziałam, że wrócę do Polski pod warunkiem, że będę miała tu co robić. Mam przyjechać, usiąść i pachnieć? Nigdy! W związku z tym, Jacek wymyślił, że będę prowadziła dom wczasowy.

Tak, to zderzenie z rzeczywistością czasami bolało, ale jakoś sobie poradziliśmy. Z Jackiem było gorzej – wprowadził napisaną książkę, ale jeśli chodzi o występy czy inne tego typu rzeczy, zdarzało się ich już wtedy bardzo mało.

Z Ameryki trafili Państwo na wybrzeże, do Świnoujścia. Skąd taki wybór?

Po powrocie do Polski od razu osiedliliśmy się w Świnoujściu, ponieważ mój słynny mąż wziął cyrkiel, postawił go na Warszawie, wykreślił koło i powiedział: „najdalej od Warszawy położone jest Świnoujście. Jedziemy tam!” Nie lubił stolicy. Twierdził, że po wojnie bardzo się zmieniła, że było tam mnóstwo naleciałości ludzi, którzy jemu nie pasowali. Przed wyjazdem do Ameryki mieszkaliśmy w Warszawie przez półtora roku – może wtedy się tak do niej zraził. Wszyscy znajomi się z nas śmiali, że po długim czasie mieszkania w Chicago przeprowadziliśmy się do tak niewielkiego miasta jak Świnoujście.

Po latach nie mogę powiedzieć, że Świnoujście jest moim domem. Wydaje mi się, że większość ludzi, którzy spędzili część życia za granicą – tak jak ja i Jacek – jest już zawsze jedną nogą w rodzimym kraju, a drugą „tam”. Czasami zdarza mi się myśleć: „cholera, pakuję się i jadę tam z powrotem!”. Ale z drugiej strony... Tam już nic nie mam. A ile razy można zacząć od początku?

Jacek Nieżychowski był także związany z Famą. Jak uczestnicy tego festiwalu trafiali do Waszego domu?

Famowiczów przyprowadzała do nas rada artystyczna. I nagle okazywało się, że „u Jacka jest jakaś impreza”, po czym z sześciu zaproszonych osób pojawiała się ich sześćdziesiąt, a ja zastanawiałam się tylko, czy mam wystarczającą ilość jedzenia w lodówce. Te imprezy odbywały się z reguły w ogrodzie, który – na szczęście – jest duży. Brakowało miejsc siedzących, więc niektórzy siadali na trawie, były tańce i wspólne śpiewy. A warto dodać, że Fama odbywała się wtedy jeszcze w innym terminie, w lipcu, więc pogoda na ogół nie zawodziła.

Krótkie pytanie na koniec rozmowy – jaki był Jacek Nieżychowski?

Jacka trudno jest określić jednym słowem, uschematyzować wiedzę o nim. Był aktorem, piosenkarzem, kabareciarzem, pisarzem, kucharzem... Miał sto pomysłów na minutę. I co najważniejsze – zawsze je realizował. Zrobił w swoim życiu naprawdę dużo rzeczy, był skuteczny w spełnianiu marzeń. Był między innymi pomysłodawcą I Festiwalu Młodych Talentów. To właśnie dzięki niemu wybiły się takie gwiazdy jak Kasia Sobczyk czy Czesław Niemen. Dużo zrobił także dla samego Świnoujścia. Gdy przyjechaliśmy tutaj, w Fortach Zachodnich były magazyny z ogórkami i kapustą. Jacek stwierdził, że takie miejsce nie może się marnować i trzeba coś z tym zrobić. I zorganizował tam turniej tenorów, których sprowadził ze Szczecina. Zrobiła się z tego ogromna impreza, lało jak z cebra, zgubiłam w błocie buta, ale to było naprawdę niesamowite przeżycie. Bez wątplenia sukces fortów jest sukcesem Jacka, bo gdyby nie on – kto wie, może nadal byłyby tam magazyny?

Jacek zawsze powtarzał mi, że nie należy bywać wszędzie i ciągle. Gdy człowiek pokaże się raz w tygodniu, zamiast trzy razy, to jest wtedy mile widziany. Natomiast, gdy pokazuje się non stop – szybko może się znudzić.

Redakcja Famiasta

46. Fama GAZ-SYSTEM Terminal Sztuki zachęca wszystkich uczestników festiwalu do włączenia się w akcję „Pomóżmy razem małemu Tomaszowi ze Świnoujścia”

Nasz synek urodził się zdrowy, silny i od tego momentu miało być wszystko dobrze. Bo dlaczego miało być inaczej? Przywieźliśmy dziecko do domu, szczęśliwi dumni i przygotowani na to, co dobre. Nikt nie jest gotowy na to, że jego małość, może stracić wzrok, oko, życie. Nowotwór w przypadku Tomusia okazał się wyjątkowo podstępny... – opowiadają rodzice małego Tomaszka.

Chłopiec ma raka, śmiertelny, złośliwy guz, który umiejscowił się w prawym oku. Polscy lekarze poddali się, w Niemczech nie potrafią pomóc, a Dr Abramson w klinice w USA daje szansę na wyleczenie, pod warunkiem, że chłopiec przyjedzie do niego w ciągu 2 tygodni.

165 tysięcy dolarów to kwota depozytu, który muszą wpłacić rodzice, by móc zacząć się pakować w podróż do Stanów Zjednoczonych. Żeby najlepszy specjalista na świecie mógł zacząć ratować oko Tomusia, potrzebne są niewyobrażalne pieniądze, ale to jedyny sposób, by stanąć na drodze śmierci, która idzie po nasze dziecko. Prosimy, pomóżcie uratować Tomka!

Widząc synka, który nie rozumie, dlaczego jego życie uległo tak strasznej zmianie, żołądek ścisnął żal, a do oczu napływały łzy bezsilności. Bezsilność sprawiała ból, który poczuje się tylko wtedy, kiedy kocha się kogoś, komu nie można pomóc. Staliśmy na trybunach najstraszniejszego meczu, jaki rozgrywał się w głowce naszego dziecka.

Wpłaty można dokonać przez portal SiePomaga: www.siepomaga.pl/pl/tomekcieciorko, lub wysłać SMS o treści S4659 na numer 72365. Koszt SMS'a to 2,46 pln brutto (z VAT).



Rzecz o niemocy

Jedenasty dzień Famy. Od kilku dni puchnie mi kostka, bez podania konkretnej przyczyny. Jest godz. 21.04, według programu powinnam być wszędzie. Według siebie, chciałabym być chociaż na koncercie Kagyumy i pokazie filmowym. Wypadałoby w końcu się dowiedzieć #gdziejestanna.

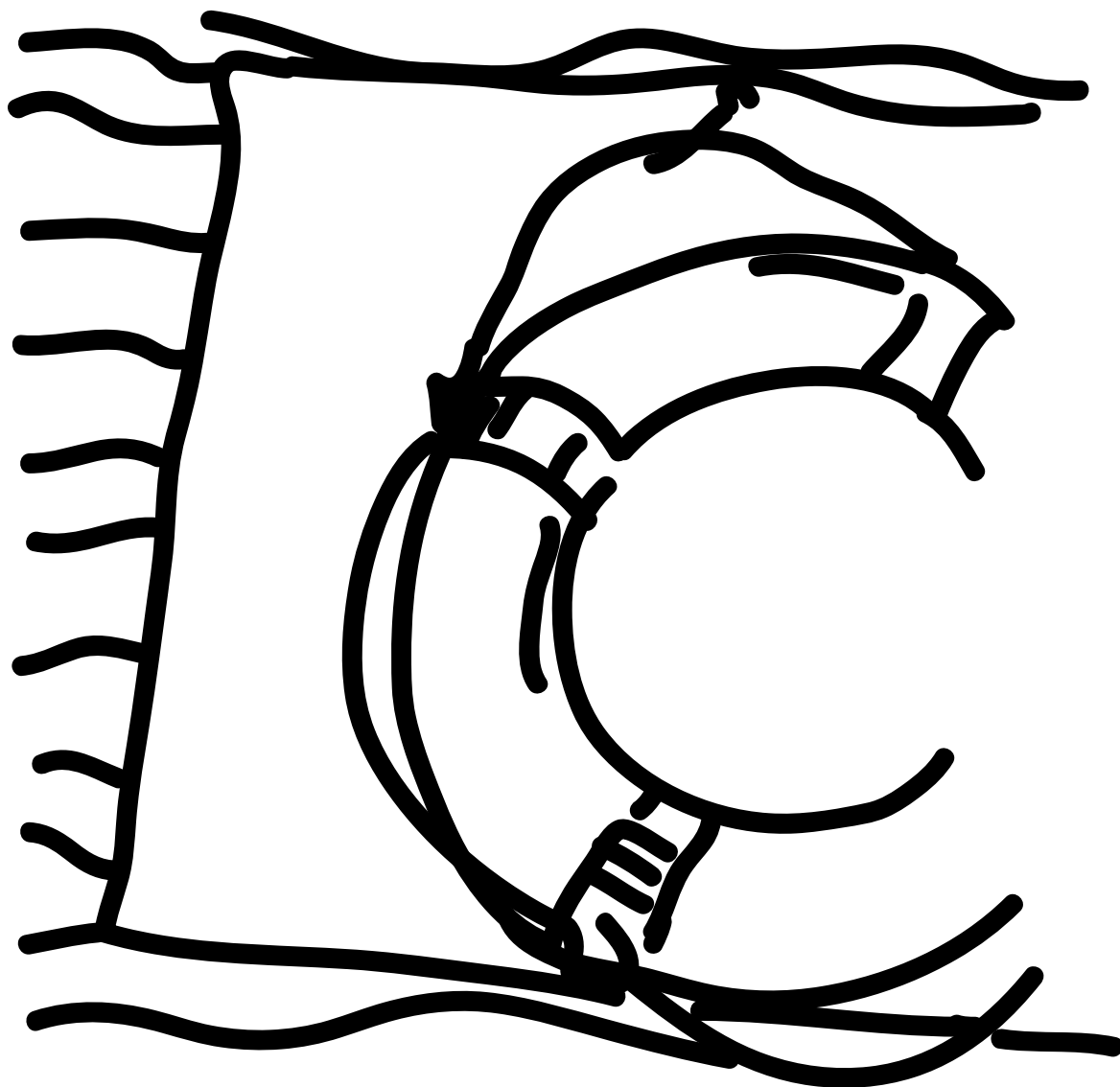
Niestety, ciało i chochlik w głowie mówi pass. Pass mówi też pani redaktor, która od wczorajszego wieczora czeka na tekst. Tekst złośliwie nie chce się pojawić, bo kiedy tylko zasiadam do pisania, dzwoni telefon, ktoś pyta o rzeczy związane z organizacją, a jeśli nikt akurat się nie dobija, zasypiam na siedząco. Z rozbawieniem wspominam, pierwszy dzień, w którym spotykam kolegę Gamrota i to jak kpiącym śmiechem skwitowałam jego kategoryczne stwierdzenie, że nie jest już najmłodszy i musi przesypiać osiem godzin na dobę. Będąc na Famie po raz piąty, wiedziałam, że wiele rzeczy nieprawdopodobnych jest tu możliwe, ale ośmiogodzinny sen graniczy z cudem i to tego kalibru, że nawet sekcja producencka nie podola. Po jedenastu dniach od tej rozmowy, darzę kolegę Gamrota serdeczną zawiścią, bowiem nie wysypia się on, tak jak zakładał, co gorsza chleje, więcej niż ja chyba kiedykolwiek mogłam, a od wczoraj machnął cztery teksty, z czego jeden miałam okazję czytać i jest piekielnie dobry. Babcia Martyna, będąc biurwą-dziennikarą, goni już ostatkiem sił i po tych jedenastu dniach nie stać jej nawet na nadrabianie miną.

Ale *show must go on* i pozostałych na posterunku kolegów i koleżanek z zespołu Famiasta, nie wypada zostawić na lodzie, kwiląc, że się nie domaga i że ta kostka to puchnie. W takich chwilach babci Martynie przypominają się wszystkie coachingowe artykuły i książki, których nie przeczytała – o asertywności, sztuce odmawiania i nie zgrywaniu niepotrzebnie bohatera, ale wie, że jest już zwyczajnie za późno. Zawsze można się pocieszyć nagrodą za najbardziej niechlujny tekst, przyznaną w kuluarach przez naczelną.

Z pocieszeniem idzie jeszcze jedno wspomnienie. Przed wyjazdem na 46. Fama GAZ-SYSTEM Terminal Sztuki, byłam na festiwalu Sanatorium Dźwięku w Sokołowsku. Miejscowości pod Wałbrzychem, trochę na końcu świata, w której kończy się droga i dalej można iść już tylko w góry. Tam właśnie powstał festiwal muzyki eksperymentalnej. Wśród gości festiwalu były znakomite osoby, takie jak Keith Rowe, Gerard Lebek, Brian Olewnick, Micheal Pisaro. Na jednym ze spotkań Keith Rowe (klasyk improwizowanej muzyki elektroakustycznej, wirtuoz preparowania gitary i współzałożyciel słynnego ansamblu AMM) powiedział zupełnie bezceremonialnie, że większość rzeczy, które robimy lub które przedstawiamy są gówniane i jest w taki momencie życia, kiedy praktycznie nienawidzi wszystkiego co robi lub ogląda. Jednak dodał, że wynika to głównie z tego, że w dziedzinie muzyki eksperymentalnej jest to wręcz oczywiste. Ponieważ występowanie, tworzenie, improwizowanie, jest podejmowaniem ryzyka. Jest podróżą w bliżej nieokreślonym kierunku. A kiedy się nie wie, dokąd się zmierza, kiedy celem jest sama podróż, naturalną konsekwencją jest błędzenie, zgubienie lub popełnianie błędów. Wracając do Famy, jako sekcja dziennikarska mieliśmy okazję na ekspresowy kurs reportażu z Marcinem Kąckim. Na ostatnich zajęciach Kącki zjechał nam Famiasto w ramach konstruktywnej krytyki i zachęcając do psucia innym krwi, dał błogosławieństwo na dalszą pracę. Jego założeniem jest: dobra gazeta musi kogoś zabołec, po niej dyrektorka powinna chodzić dwa dni obrażona. Możliwe. Lub może to jest jego ścieżka. Moim zdaniem, owszem nie powinniśmy unikać krytyki, ponieważ musimy być świadomi, że tworząc coś możemy i nie unikniemy błędów, będziemy błędzić, będziemy czasem składać wymuszone, nieskładne teksty, które będą spędzały sen z powiek naszej dzielnej redaktorki. I tak, wiem, że to brzmi jak propaganda, ale jednak famowa propaganda to coś, na co pozwalam sobie z czystym sumieniem. Bo nigdzie indziej, nie doświadczyłam tak dobrze, że można coś zwyczajnie spieprzyć, że fizycznie i psychicznie nie da się być nieustannie na pełnych obrotach i że bywa, że robimy rzeczy słabsze.

Jednak przy tak skondensowanej formie festiwalu i jego ofercie programowej, zwyczajnie nie wszystko musi/może być na najwyższym poziomie. Jeśli by tak było, nie zostałoby już nic do poprawienia lub nie byłoby miejsca na poprawki, które to może właśnie my wprowadzimy w kolejnych latach. Może diabeł tkwi właśnie w tym, żeby pewna niemoc dała nam tak popalić, abyśmy w końcu stworzyli coś nowego.

Martyna Woch



Famoskop

Baran 21.03-19.04

Mam dobre wiadomości. Córka skończy socjologię z wyróżnieniem, a syn zrobi doktorat z historii sztuki. Tylko najmłodszy zostanie pospolitym złodziejem samochodów na Białorusi. Niestety, nie będziesz mógł wykopać go z domu, bo jako jedyny będzie przynosił jakieś pieniądze.

Byk 20.04-20.05

Niestety umrzesz. Nie martw się, każdy umrze. Wydadzą pośmiertnie książkę, którą pisałeś przez ostatnie 15 lat swojego życia. To wiekopomne dzieło będzie liczyło sześć stron. Tytuł: Nekrofilia – triumf miłości nad śmiercią. Ostatnie lata życia spędzisz jako tekściarz Stachurskiego. Nowy projekt wybitnego muzyka przyniesie ci głównie upokorzenie. Poradzisz sobie z tym. Ograsz to doświadczeniem.

Bliźnięta 21.05-21.06

W najbliższym czasie czeka cię spore wyzwanie. Od zawsze chciałeś zostać bogatym muzykiem. Niestety będziesz musiał wybrać między jednym a drugim. Bogactwo wewnętrzne po jednej stronie, a powolne wypalanie się (jak pet wyrzucony przy betonowej drodze przez tirowca) na undergroundowej scenie radomskiego domu kultury. Zapomniałem dodać, Radom to wszystko, na co cię stać.

Rak 22.06-22.07

Dostaliśmy sygnał z Syriusza pozostającego w konstelacji wegepanny, że masz problemy w domu. Mama przestała przelewać pieniążki na „projekty artystyczne”, bo ostatni, który zrealizowałeś, opierał się na wymyślaniu tytułów projektów, których nie zrealizujesz. Twoja żona nie wraca z pracy od siedmiu lat. Ty nie masz tego problemu. Zajmujesz się scenografią. Nie masz pracy, a twój dom jest tylko rekwizytem w spektaklu zatytułowanym: Porażka. Nazwany po twoich dzieciach i planach na przyszłość.

Lew 23.07-22.08

Lwy mają dużo do powiedzenia, łatwo odnajdują się w towarzystwie i często odnoszą sukcesy w sztuce. Niestety horoskopy kłamią. Podobnie jak twoje wyobrażenia o karierze. Postanowiłeś zostać kabareciarzem. Jednak więcej charyzmy scenicznej ma stół ślusarski mojego ojca. Twoje żarty są tak suche, że mogłyby występować w reklamach kremu Nivea, jako efekt „przed”. Pragniesz dostać nagrodę na festiwalu? Wszystko możliwe, no może poza osobowością. W tym wypadku powinieneś dopłacać ludziom za to, że muszą z nią obcować.

Panna 23.08-22.09

Dziewczyna odeszła od ciebie w momencie, w którym pokazałeś jej swoje artystyczne zdjęcia. Robienie nocnych ujęć ciemnej sieni to jedyny sposób, żeby wyrazić swoją osobowość. Weźmiesz psa ze schroniska. Twój najlepszy i jedyny przyjaciel trzeciego dnia weźmie łańcuch i sam przywiąże się do drzewa w lesie. Na szczęście odnajdzie go utalentowana łasica, zaprosi na kolację i za dwa lata wspólnie wygrają konkurs organizowany przez „National Geographic”.

Waga 23.09 - 22.10.

Wszystko zacznie się układać. Znajdziesz kobietę swojego życia. Dziewczyna będzie utalentowaną aktorką, która lubi spędzać czas w domu na wyszukiwaniu filmów fantasy i przygotowywaniu pułapek na myszy. Dostaniesz pracę, przyjaciół i wiarę w lepszą przyszłość. Niestety to tylko halucynacja z niedożywienia. Jesteś fotografem w raciborskim ośrodku dla niewidomych. Palisz skręty z herbaty i masła. Zawsze kończysz przed czasem. Zawsze.



Koziorożec 22.12-19.01

Zawsze miałeś wrażenie, że czegoś ci w życiu brakuje? Od samego początku wiedziałeś, że na coś czekasz i nie możesz tylko określić tego, co to jest. Wczorajsze zaćmienie galaktyki Neptuna przyniosło odpowiedź na to pytanie: inteligencji. Próbujesz złapać pokemony do słoika po ogórkach. Nadajesz im staropolskie imiona i udajesz, że są prawdziwe. Podobnie robisz ze swoim życiem.

Wodnik 20.01-18.02

Zastanawiasz się, dlaczego nic ci w życiu nie wychodzi, nie masz męża ani powodzenia u facetów? Odpowiedź jest prosta: jesteś producentką filmową. Jesteś tak brzydka, że mężczyźni starają się o tobie nie myśleć podczas sytuacji erotycznych. Chcesz coś zmienić? Otwórz Ośrodek Przeszczepu Tożsamości. Znajdź dawcę i módl się, żeby się przyjęło, bo może być za późno.

Skorpion 23.10-21.11

Zastanawiasz się, czy jesteś prawdziwym artystą. Myślisz, czy kiedykolwiek stworzysz dzieło godne zapamiętania, zmienisz świat, poruszysz umysły ludzi, rozpętasz rewolucję. Odpowiedź na to pytanie nie jest zawarta w gwiazdach, tylko w twojej czerstwej osobowości. Nie. Nie zostaniesz. Twoim największym osiągnięciem będzie skomponowanie melodii do trybu wirowania w islandzkich pralkach.

Strzelec 22.11-21.12

Nazwiesz psa Danuta i nie wygrasz nigdy żadnej nagrody na festiwalu artystycznym. Dlaczego? Bo jesteś martwy w środku. Nie zadręczaj się jednak, zaczynałeś od PWST. Poszło lepiej niż wszyscy się tego spodziewali. Twoim największym osiągnięciem będzie zakwalifikowanie się do drugiego etapu wyścigu rowerów wodnych. Niestety przegrasz z ekipą magazynierów po łódzkiej filmówce.

Ryby 19.02-20.03

Kiedy byłeś dzieckiem, zapaliła się twoja kołyska, rodzice gasili ją łopatą. Dlatego teraz jesteś performerem. Najprawdopodobniej w tym czasie ogień strawił również twoją duszę, dlatego po śmierci zostaniesz szyną tramwajową w Sosnowcu. Jeżeli myślisz o przebranżowieniu, polecam zostać donicą do kwiatów w OBI lub nocnym stróżem na Polach Mokotowskich.



Zaprasza na
koncert finałowy

„WIWATY I KWIATY”
- Amfiteatr,
26 sierpnia,
piątek, 20:30



TOR- PEDA LUDU

Teksty uczestników warsztatów literackich

W krótkich spodenkach, w bokserkach z Supermanem

Aleksander Trojanowski

Spotykają się przynajmniej raz w roku w pięciogwiazdkowym hotelu w Szarm el-Szejk. Pan Tarkowski, minister finansów w czasach prawicy, minister finansów w czasach lewicy. Obecnie doradca budżetowy generała Mubarak z ramienia Banku Światowego. Pan Rawlison, przedstawiciel handlowy firmy Lockheed Martin w Afryce Północnej. Gitarzysta-amator. Tarkowski i Rawlison, dwaj wdowcy, dwaj przyjaciele z Afganistanu. Spędzają Święta Bożego Narodzenia na egipskiej riwierce, gdzie rok w rok dołączają do nich dzieci.

Staś Tarkowski: uczeń, absolwent, laureat. Ministrant, pasjonat broni palnej. Członek grupy rekonstrukcji historycznej Powiśle. Miłośnik klasycznych pozycji literackich.

Nel Rawlison. Alergia na gluten, produkty pochodzenia roślinnego, nabiał oraz produkty pochodzenia zwierzęcego, sierść kotów, sierść psów i chomików, spulchniacze chleba, konserwanty, barwniki, surowe owoce i warzywa z grupy pestkowców. 150 cm wzrostu, 40 kg wagi, oczy niebieskie, włosy blond.

Staś dostaje pod choinkę (święta bez choinki są nie do pomyślenia, nawet tutaj): pistolet maszynowy UZI 9mm; karabin maszynowy automatyczny M16A4 5,56 mm; samopowtarzalny karabin wyborowy M40A3 7,62 mm oraz bokserki z Supermanem. Nel również coś dostaje.

I dnia świąt pan Rawlison skarży się na miejscowych kontrahentów. Właściciel firmy spedycyjnej Smain zniknął z kilkoma ciężarówkami min przeciwpiechotnych. Przyłączył się do antyrządowego powstania, które wybuchło w południowej części kraju. Na prośbę Rawlisona administracja wojskowa USA zatrzymała żonę właściciela firmy spedycyjnej Smain, trójkę jego dzieci, cztery siostry wraz z małżonkami oraz potomstwem, piątkę braci wraz z małżonkami i potomstwem pod zarzutem terroryzmu oraz ingerencji w bezpieczeństwo narodowe Stanów Zjednoczonych Ameryki. Zostali osadzeni w jednym z nieistniejących więzień CIA. Niesmak, powiedział pan Rawlison, mimo wszystko pozostał. Pan Tarkowski z uznaniem mówi o przyroście naturalnym Egiptu. W ogrodzie Staś i Nel bawią się prezentami Stasia.

Powstanie dociera do Kairu. Media informują o arabskiej wiosnie. Z perspektywy kurortu trudno powiedzieć, czy odbywa się rewolucja czy raczej wojskowy zamach stanu. Nie wiadomo, co siedzi w głowach Arabów. Dużo krzyczą.

W Szarm el-Szejk ma miejsce seria zamachów terrorystycznych. Turyści masowo opuszczają Egipt. Wyjątkiem są turyści z Polski. Wydają się być zadowoleni – jest czystiej, puściej, spokojniej. Pan Tarkowski, jako Polak, nie opuszcza hotelu. Pan Rawlison, jako polonofil, solidaryzuje się z decyzją przyjaciela. Nieznani sprawcy porwują Stasia i Nel.

Porywacze żądają uwolnienia rodziny właściciela firmy spedycyjnej Smain, opuszczenia terytorium Egiptu przez personel wojskowy Stanów Zjednoczonych, rozbrojenie państw Unii Europejskiej, likwidację państwa Izrael oraz okup w wysokości miliona dolarów. W odpowiedzi amerykańskie drony bombardują dwie drogi krajowe, trzy drogi szybkiego ruchu, pięć magazynów, szpital, dwie szkoły oraz siedem niezidentyfikowanych obiektów. Media informują, że władzę w kraju przejęli fundamentaliści podszywający się pod demokratów tak dobrze, że nawet egipcyscy demokraci są dezorientowani.

Stas i Nel jadą przez pustynię na tylnym siedzeniu samochodu terenowego. To radzieckie UAŻy, zauważa Staś. Nel przyznaje mu rację. Z głośników dobiega arabskie disko. Staś wypatruje dronów na bezchmurnym niebie. Podczas postoju rozmawia z porywaczami o pogodzie. Nel jest głodna. Pogoda nie dostarcza wielu tematów do rozmowy. Gorąco, mówi Staś. Nel przyznaje mu rację. Staś oddaje jej swoją bezglutenową rację żywnościową. Nel ma problemy ze snem. Staś ma sny erotyczne. Śni mu się mała Nel.

Staś rozmawia z porywaczami o uzbrojeniu i o taktyce walk partyzanckich. Na niebie wciąż nie pojawia się ani amerykańska kawaleria powietrzna, ani drony. Staś przedstawia porywaczom problematykę taktyczno-strategiczną Bitwy Warszawskiej. Uczy ich mnożyć na palcach. Zapoznaje porywaczy z głównymi problemami literatury polskiej po 89 roku. Nel ma problemy ze snem. Staś śni, że Nel odbywa stosunki seksualne z porywaczami. Oni nie są chrześcijanami, mówi Staś. Lubię to, odpowiada mu Nel. Staś czuje obrzydzenie. Schyla głowę, bolejąc nad naiwnością swojej amerykańskiej towarzyszki. Budzi się ze łzami w oczach. Płaczesz?, pyta Nel. Nie. Tylko mi się oczy pocą, odpowiada Staś.

Staś rozmawia z porywaczami o arabskich kobietach. Zapoznaje ich z głównymi kierunkami polskiej myśli technicznej. Uczy porywaczy wiązać pięć rodzajów supłów. Podczas postoju pokazuje, jak rozpala się ogień za pomocą szklanej butelki. Nel przyjmuje posiłki, ale narzeka na jakość wody pitnej. Tym razem śpi całą noc. Staś nie może spać. Zastanawia się, o czym śni Nel.

Docierają do stolicy dżihadystów. Staś jest pod wrażeniem dyscypliny, hartu ducha, siły przekonań. W rozmowie z legendarnym wodzem powstania odmawia przyjęcia islamu. Powołuje się na historię. Powołuje się na naturę. Powołuje się na Ducha Świętego. Powołuje się na wspólnotę wartości. Legendarny wódz powstania z uznaniem kiwa głową. Staś zauważa, że choć pewne rzeczy ich dzielą, są także rzeczy, które ich łączą. Nel przyznaje mu rację. Staś pokrótce omawia stosunki polsko-tureckie w XVI i XVII wieku, po czym przedstawia elegancką konkluzję. Przywódca dżihadystów przyznaje mu rację. Nel przyznaje mu rację. Wieczorem Staś masturbuje się myśląc o Nel. Dochodzi cztery razy.

Arabowie są leniwi, zauważa Staś. Nel przyznaje mu rację. Podczas największego upału Staś wykrada broń wartownikom. Wartownikom nie chce się szukać broni. Staś zabija wartowników, oszczędza im jednak zbędnych cierpień. Rannych szybko i efektywnie przekonuje do przyjęcia religii katolickiej. Oddaje trzy strzały łaski.

Ucieczka przez pustynię. Staś omawia pionowe oraz poziome ukształtowanie terenu Afryki Północnej. Obozują w jaskini. Staś przedstawia wady i zalety żywności genetycznie modyfikowanej w kontekście problemów żywnościowych krajów Trzeciego Świata. Kiedy Nel śpi, Staś się masturbuje. Dochodzi cztery razy.

Staś postanawia dotrzeć do Afryki Zachodniej, by uniknąć zagrożenia terrorystycznego, czyhającego na nich tak w Północnej, jak i Środkowej Afryce. Nel przyznaje mu rację. Przed snem, Staś opowiada Nel o wybranych problemach współczesnej literatury dziecięcej. Następnie masturbuje się. Dochodzi dwukrotnie.

Ucieczka przez puszcę. W puszczy napotykają słabo uzbrojonych rebeliantów z Ludowego Frontu Wyzwolenia. Wyzwolenia czego, chce wiedzieć Staś. To zależy, odpowiada przywódca rebeliantów. Szybko dochodzą do porozumienia. Oczywiście przywódca rebeliantów nie mówi po polsku. Staś jest jednak komunikatywnym i elokwentnym młodym człowiekiem. Uczy swojego nowego przyjaciela podstaw gramatyki opisowej języka polskiego. Uczy go czytać. Uczy go rozpalać ogień bez podpałki. Uczy go gotować w warunkach polowych. Uczy go używać broni palnej. Przedstawia mu zarys historii Polski. Przedstawia mu główne problemy współczesnej historii Polski. Udowadnia tezę, że Jan Paweł II jest autorytetem moralnym na miarę XXI wieku. Uczy go lepić pierogi. Uczy go utworów: „My, Pierwsza Brygada”, „Chabry z poligonu” oraz Mazurka Dąbrowskiego.

Rebelianci z eksperckim wsparciem Stasia odbijają stolicę swojego państwa. Przyjaciół Stasia chce dokonać krwawej zemsty na przeciwnikach, jednak Staś odwołuje go od tego pomysłu. Przekonuje, że lepszym rozwiązaniem będzie zgoda i jedność narodowa. Ujmując to w lapidarnej formule: „Duma! Duma! Duma narodowa!” Przyjaciół Stasia przyznaje mu rację. Nel również przyznaje mu rację. Nowo zjednoczony naród przyjmuje katolicyzm. Staś masturbuje się myśląc o Nel. Dochodzi trzy razy. Gdy wstaje słońce, ruszają w stronę wybrzeża.

Pierwszego dnia atakują ich uzbrojeni przemytnicy diamentów. Staś zabija przemytników przy pomocy karabinu automatycznego AK 47. Przed śmiercią przemytnicy przechodzą na katolicyzm. Wieczorem Staś masturbuje się myśląc o Nel. Dochodzi dwa razy.

Drugiego dnia atakuje ich stado goryli. Staś zabija goryle z karabinu automatycznego AK 47. Przed śmiercią Staś przekonuje goryle do przejścia na katolicyzm. Nel bije brawo, choć jest wycieńczona podróżą. Staś masturbuje się myśląc o Nel. Dochodzi dwa razy.

Trzeciego dnia atakuje ich lew. Staś zabija lwa z karabinu automatycznego AK 47. Przed śmiercią lew przechodzi na katolicyzm. Nel bije brawo, choć jest wycieńczona. Wieczorem Nel budzi się i zauważa, że Staś się masturbuje. Wyraża żal, że w Afryce niedostępne są środki antykoncepcji bezpośredniej. Staś pozostawia jej uwagę bez komentarza.

Staś i Nel wracają do Egiptu drogą morską. Na miejscu Nel dziękuje Stasiowi za opiekę podczas tej niebezpiecznej przygody. Proponuje mu stosunek płciowy z zabezpieczeniem. Staś jednak nie wyraża zgody. Proponuje ślub i stosunek płciowy bez zabezpieczenia. Nel przyznaje mu rację. Staś masturbuje się. Dochodzi cztery razy.

Ślub odbywa się w Polsce. Po ślubie Staś i Nel odbywają stosunek płciowy bez zabezpieczenia. Ojciec Stasia zostaje przedstawicielem firmy Lockheed Martin w Europie Środkowo-Wschodniej. Ojciec Nel zostaje doradcą wojskowym rządu egipskiego. Podczas podróży poślubnej Staś i Nel wracają do Afryki.

Minął rok. W Szarm el-Szejk jest Boże Narodzenie. Zza zamkniętych drzwi apartamentu młodego małżeństwa dobiega stłumiony śmiech. Widzimy czwórkę naszych bohaterów na ekranie hotelowego monitoringu, na jednym z telewizorów stojących w ciasnej kanciapie, w której spokojnie śpi spocony cieć. Tu ich zostawiamy, w samym środku błógiego, rodzinnego święta.

Kacper Płusa

jezus chrystus i pks białystok

i być jak jezus, który wjeżdża do jerozolimy autobusem rejsowym relacji poznań - białystok. niestety, uczniowie nie mają zniżek studenckich, za tydzień nie ma już miejsca dla dwunastu – mówi pani z informacji. wyobrażam sobie, że wychodzisz w przerwie na fajkę na włókniarzy. i nie masz nawet z kim pogadać. czy ze ściśniętej krtani wypływa ci zdanie: łódź, kurwa, łódź!

czy na dworcu żegnała cię matka boska od kanapek z serem? mówiła: synu, uważaj na siebie. poszedłem za tobą i spytałem: czy mogę się dosiąść? unikaj personalnych wycieczek w piątek. można trafić na kierowcę – osła. znam takiego o numerze bocznym 666. nazywa się iskariota. ludzie wschodu, choć czasem odbija im palma, są serdeczni. całują, zanim wbiją nóż w plecy.

modlitwa dziękczynna

i te zdemolowane hotele, z których uciekałem ze strachu przed świtem. te szpitale za kratami opuszczone przez boga i ludzi, gdzie płakali mi w poły pasiastej piżamy zagubieni mężczyźni, długie włosy, które kochałem w sobie najbardziej i ściałem, a teraz leżą, by świadczyć o tobie na śmietniku. i to milczenie, co dopada mnie coraz częściej i trwa coraz dłużej, i te tanie wina, co nie zasłużą na przemienienie. ciało znękanе chorobami, tak niedoskonałe, daję tobie, panie.

odsuń ode mnie słowo, daj podwinąć rękawy i wziąć się do pracy. nie będę tamtym chłopcem, który czyta mroczne wiersze z kartki. jeśli trzeba będzie pomóc ci oczyścić serce lub wywieźć gruz z nieba, ześlij mi siłę. wiem, że jesteś zmęczony i że coraz starszy. nie proszę o mądrość, o lepsze życie, ani nawet następną szansę. wiesz, panie, że mam być największym nędzarzem.

myślę o przyjaciółach, z którymi piłem wódkę, a teraz już piszą pieśni po tamtej stronie rzeki. o tych, którzy jeszcze tu toczą kamień pod górę, on ciągle i nieustannie spada. daj mi osiwieć przed trzydziestką lub pozwól mi gorzko zapłakać. ale nie powołuj mnie do siebie tak szybko. jest ktoś, kto chce miękkości mojego dotyku. muszę tu zostać, czuwać, bo nikt się nie ostanie. wszystko marność, ale wiedz, że tę, za którą się modlę, zaprowadzę do ciebie za rękę, o panie.

Dzień jak co dzień

Agnieszka Budnik

Lubię, kiedy budzisz mnie niezasłoniętymi żaluzjami każdego dnia, szczególnie gdy słońce wdiera się ostrym spojrzeniem w nasze okno, a i lubię kiedy w nocy tak się wiercisz i rozpychasz, że nie raz zostałam napadnięta bez broni w rękę przez twoje wielkie ramię, szukające piątej poduszki, w którą mogłoby się zanurzyć i wymościć posłanie, bo przestrzeń osobista w twoim przypadku zaciera się razem z granicą świadomości i snu.

Kiedy robi się zimno, a już się robi, nie ma co udawać, to naturalniej siadam z gazetą – między szyciem niesamowitych sukienek, projektowaniem nowej, równie fenomenalnej kolekcji ubrań dla takich, których stać na bed&breakfast po imprezie, lunch, brunch, szybki squash między zakupami i wydawanie sześćdziesięciu złotych za butelkę wody marki Voda w delikatesach na drugim końcu miasta – a kontemplowaniem światowego ubóstwa i widma ekocydu, bo najnowsze „Elle” już przeczytane, a chleb własnego wypieku, raczej średni w smaku niż dobry, już mam.

Po standardowych zabiegach pielęgnacyjnych, trwających dłużej niż krócej, jak zwykle mam pełne ręce roboty – manicure, szybki rekonesans serialowy, próba zrozumienia dlaczego nasze miasto nie jest tak wielkie, seks nie tak dobry a felietony nie tak poczytne jak te Carrie Bradshaw, bo przecież mi nic nie brakuje, a jej na pewno lustra. Prasownie trwa tak samo długo jak zawsze, ale odkąd dostałam stację parową, jestem w stanie wyprasować o cztery koszule więcej niż wcześniej. Zasłużona kawa, pomleczona sojowym beztłuszczowym, po które znowu muszę go wysłać, bo właśnie mi się kończy, program o aranżacji wnętrz i talk show, które jakoś tak zawsze mnie wzrusza, jak nic innego.

Czas leci na tyle szybko, że zaraz muszę dzwonić po catering, dzisiaj z chińskiej restauracji, bo mężczyzna zły, kiedy głodny, zwłaszcza po całym dniu negocjowania kontraktów, chyba z Chińczykami. Szybki przegląd makijażu też nie wypada zbyt pomyślnie, co odejmuje mi kolejne pół godziny przed godziną „W”, punktem kulminacyjnym dnia.

Wraca, zadowolony, że czysto, że kolor paznokci pasuje nawet pod szminkę, co jest niesamowite, bo i tak nie odróżnia kolorów, ale miło i ciepło robi mi się na sercu, że trud dnia został mi wynagrodzony, bo odkąd zajmuję się pracą w domu, a to już trzy lata, nie mam nawet czasu zadzwonić, a tym bardziej odebrać telefonów, na szczęście te od siostry i przyjaciółek są już coraz rzadsze.

cztery
koszule

Dziesięć pudełek

Maciej Bogusławski

Zapale
k
pudeł
ek

gdy byłem młodszy, usłyszałem od ojca słowa, które dźwięczą mi w głowie do dziś. był koniec maja albo początek czerwca, po miasteczku krążyły kasety z talking heads, a długie lato miłości dobiegało końca. po pracy w zakładzie ojciec zalegał na wersalce i gapił się w zieloną schodzącą ze ściany tapetę, gapił się jak w telewizor, to znaczy, jak inni w telewizor, bo on w tapetę. i tylko raz odwrócił od niej ten wzrok znękany, na mnie. *jeszcze z dziesięć lat*, powiedział wtedy, *i to wszystko jebnie*.

przynaję. przegrałem transformację. byłem za wolny. w szkole też byłem za wolny, w podstawówce za wolny, w liceum za wolny. matka mówiła, że to przez opóźnione pokwitanie i później już wszystko tak, z opóźnieniem, na przykład ta transformacja. zorientowałem się, jak rozmontowali mur. dlatego że rzadko wychodzę z domu, to znaczy *wychodziłem*, dom sprzedawałem, żeby kupić mieszkanie na osiedlu w większym mieście, ale nawet nie zaczęli go budować. tak się zaczęło.

nie wiem, czy potrafię tak jak inni, jak się czyta w gazetach. to znaczy, mówić o nim. o garniturach brązowych z pedetu, plikach dolarów i rubli. czuję, jakby to było wczoraj, może dlatego, że było. podszedł do mnie na pikiecie pod siedzibą dewelopera i poczęstował amerykańskim papierosem. nie pałę, ale wziąłem. rozmawialiśmy trochę o sytuacji, że rewolucja pożera dzieci, że mury runą. nie wiedziałem, co ze sobą zrobić, nie miałem nic, pieniędzy, domu. ale on – on, który wygrał tę transformację – postanowił mi pomóc.

tak. sprzedaję zapaliki. dostałem od niego dziesięć pudełek, na początek. nie miałem czym zapłacić, ale to też nie był problem, po prostu wziął moje buty. i tłumaczył. tłumaczył, że od zapalek się zaczyna, że później są fabryki, kopalnie i kantory, że buty kupię sobie już po pierwszym dniu pracy, bo pieniądze leżą na ulicy i trzeba tylko się schylić. że on się schylił.

szron osiada na samochodach, teraz, kiedy o tym myślę. robi się ciemno. ludzie mijają mnie i jakby nie zwracali uwagi, ale to też mi wytłumaczył. popyt i podaż zmieniają się jak szalone, wolny rynek jest membraną reagującą na najdrobniejsze poruszenia. jeśli odpowiednio w niego wskoczysz, wybije cię zawsze do góry.

myślę też o ojcu. być może miał na myśli tapetę. odpalam jedną z zapalek i ogrzewam bose stopy. to tylko jedna zapalika, a sukces przychodzi z czasem. odpalam kolejną. ciepło płomienia jest przyjemne, jest jak te letnie dni, w których wszystko mogło się zmienić, być inaczej. wydaje mi się niemal, że widzę swojego ojca, że słyszę, jak coś mówi. niezależnie od wszystkiego miał rację. tapeta też się posypała.

Próba losowa

Elżbieta Łapczyńska

Patrzę: ślad buta na płytce, szkliwionym gresie. Kolor La Crema zbrukany błotem. To b y ł a kolekcja Verona. Kładę siatki z rosołową. Patrzę dalej. But wywrócony podeszwą do góry wprost na mnie, a na podeszwie bród. Obok parasol z wygiętym drutem i brunatną kałużą wokoło. Muszę się złapać framugi. Ostrożnie odwieszam płaszcz, zaraz zajrzę do salonu. Nad Karolem pochyla się przemoczony rudy łeb.

Na ogół nie był geniuszem, choć kiedy chciał, to potrafił. Pięknie recytował „Grażynę”, wiersz polskiego poety. Ale czasami, gdy prasowałam ręczniki, podpatrywałam, jak skleja figurki przy stole pod wąskim światłem lampki. Zawzięcie mocował zielone kończyny do maszkarona z kauczuku. Wtedy ocierałam policzek wierzchem dłoni i prasowałam dalej.

Cóż on mógł wiedzieć o kobietach? Ojciec go nie nauczył. Ojcowie nic nie przekazują synom poza wadami. Więc Karol miał kilka wad, ale przede wszystkim wadę wzroku. Jeszcze za czasów, gdy sklejał te figurki, widział może, co ręka, co noga, ale później było coraz gorzej. Najpierw minus pięć, potem minus osiem. Ile ja się nachodziłam. Szkła od Kaczorowskiego zamawiane, a on płacze, że grube i że nie będzie nosił. Aż oślepl prawie zupełnie, i to w tym samym wieku co jego ojciec. Nie mogę odżałować. Któż się ze ślepym ożeni.

Czaję się w progu bez ruchu, lecz po chwili wchodzę. Nie dam się zaszczuć we własnym domu.

- Pani to kto.
- Ankieterka
- Nie ciebie pytam, Karol.
- Badać sytuację samotnych heteroseksualnych mężczyzn po 35 roku życia.
- I co żeś powiedział.
- Ja dopiero... początek to jest, mam, dopiero. Czytać zacząłem pierwsze pytanie.

Spuszcza głowę nad kartki, niby czyta, ale ja wiem, że nie czyta. Okularów ze szklami od Kaczorowskiego nie ma na jego nosie.

- No to mi, Karolu, przeczytaj to pierwsze pytanie. – I patrzę, co ona na to. Zasiadłam przy stole w odpowiednim oddaleniu. Oni na sofie. Odcisnęła się w tapicerce przemoczonymi džinsami, razem z wilgocią i smrodem zmokłego psa. To b y ł a sofa Leoni. Nóżka przy nóżce, rączka z długopisem wciśnięta między uda, w drugiej teczka przyciśnięta do piersi w obronie. Zwinęła się sama w siebie jak krab. Wyczekuje odpowiedzi, ale nie wie, że się nie doczeka. Już się nachyla do niego pomocnie. W końcu Karol podnosi wzrok.

- Przemoczone kartki i się złało. – podaje jej bezradnie ankietę, a ona przygląda papier rękawem.
- Ja przeczytam. Pierwsze: płęć...
- A nie męczę ci się oczy, Karolu?
Zagryzam ciszę ciasteczkami.
- Męczy mnie życie, mamol – zrywa się, aż z sofy spadają poduszki.
- Karol. Założ, proszę, okulary. – wstaje i ja. Tamta siedzi i głową to na mnie, to na niego.
- Zgubiłem – kłamię. Potyka się o dywan i gramoli między meblami.

Po południu bajecznie się rozpogodziło. Kielichy piwonii otwierały się do promieni słońca, a na płatkach błyszczały krople deszczu. Ale gdy wychodziłam z balkonu i zasuwalam firany, popsuł mi humor ten widok: dwie wilgotne plamy na sofie, podłużne ślady nieproszonej obecności. A między nimi, tam, gdzie schodzą się poduchy siedziska, zamigotało szkło w czarnej oprawce.

Szuranie

Marta Jankowska

Mama mówiła, żeby być sobą. Tak mówi chyba każda mama: bądź sobą, nie oglądaj się za siebie, to nie powód do wstydu. A ja się oczywiście wstydziłam, ja się oglądałam, lamerstwo zawsze lepiej ukryć gdzieś w sobie, w środku.

Piotr to zawsze powtarza, że każdy Polak ma w sobie małą kurwę. Pytam, co ma na myśli, ale on tylko bełkocze przy czwartym piwie: – Małą kurwę, słyszysz?

Nie wiem więc, czy chodzi mu o rozkładanie nóg, czy może o to, że wszyscy sprzedajemy siebie, swoją duszę? (Może o to drugie, Piotr pracuje w korpo, ale marzy o anarchii, nagrał jeden punkowy kawałek "Krzyk", więc kiedy mi go puszcza: – Spoko piosenka – mówię. – Trochę jak zarzynanie świni.)

Mama mówiła, żeby być sobą. Ale jak być sobą, kiedy jest nas dwójka? Czasami spoglądam w lustro i nie wiem, czy to smutne spojrzenie należy do mnie, czy do Sandry. Może do niej. Zawsze była smutna, bo zawsze była niepełna. I teraz to ja jestem ta niepełna, tylko mnie jest za dużo – odkąd siedzi we mnie.

– Co Ty pierdolisz?! – wkurwiasz się, kiedy ci o tym opowiadam. I czuję się jak w dzieciństwie, kiedy rodzice atakowali mnie z powodu Sandry; pomóż siostrze, mówili, masz wszystko. Bo Sandry zawsze była tylko połowa. I tylko szur, szur, szur, na wózku, szur, szur, szur. A ja starałam się nie patrzeć na puste nogawki, by nie wybudzać z letargu wyrzutów sumienia. Ale wyrzuty zawsze się pojawiały, średnio dwa na godzinę, dwa na godzinę, dwa na godzinę, czasem jeden na godzinę i to było jeszcze gorsze, bo ten jeden z dwóch to była połowa.

– Chyba nie pójdziesz na dyskotekę?! – wrzeszczała matka. – Siostra nie może. Chcesz żeby było jej przykro?

Nie szłam. A Sandra i tak dostawała na pocieszenie te wszystkie rzeczy; uściski, uśmiechy. Ja nie potrzebowałam pocieszenia. Byłam cała. I tak zazdrościłam jej tego, zazdrościłam jej tego kalectwa; z miłością rodziców jest pełniejsza, uważałam. A potem było mi głupio, że mogłam tak w ogóle pomyśleć, spalałam się od środka we wstydzie i tylko oczy Sandry błyszczały, kiedy widziała, jak się miotam. Szur, szur, szur, na wózku, szur, szur, szur.

Teraz, kiedy umarła, jej nie ma, ale przecież jest; we mnie. Zjadam półtora obiadu, a kiedy planujemy ślub, nie zgadzam się na tańczone wesele, bo Sandra by takiego nie miała.

– Sandra by takiego nie miała – mówię. Ty się wściekasz, ale za to spojrzenie rodziców jest jakby mniej rozczarowane. Może nawet się uśmiechają? Ciężko przejrzeć przez te wszystkie drobne zmarszczki. Żadna nie jest z mojego powodu, bo i zmarszczki nie pojawiają się od rozczarowania.

I jestem jak to piwo rozlane na plaży, skazane na niechętnie spojrzenie, bo zmarnowane, z perspektywą na przekleństwa w powietrzu, kiedy wdepniesz w nie bosą stopą i oblepi cię piaskiem. Zmarnowana. Niechciana.

– Ale, a-a-a-le... a... – zaczynam i nie kończę. Te trzy litery wiszą między nami, zderzają się ze sobą w różnych kombinacjach piskliwego jąkania, kłębią się na języku, łaskoczą przełyk, kaszlę i tylko oczy są bardziej wilgotne (oczy są piwne).

Twoje oczy to kosmos. Ciemnieją, kiedy kurwisz mnie wulgaryzmami. I może Piotr miał rację? Nie wiem. I nie wiem, jak to działa w innych związkach, ale my: im dłużej jesteśmy razem, tym więcej się kłócimy. Krzyczysz do mnie to to, to tamto, że Cię ranię. Nie rozumiesz, że to nie ja. To Sandra.

Zmywając wieczorem makijaż, nie patrzę w lustro. To spojrzenie nie należy do mnie.

– Na starość robi się ze mnie drama queen – mruczę ci żartobliwie do ucha. Na pogodzenie. Sennie muskasz mój obojczyk. Zsuwasz mi stanik. Śnimy. A mi się zdaje, że słyszę jakieś szuranie.

Anna Marszałek

Wyspa

Mężczyzna imieniem Anton:
Przez dziwne wasze na koniec rozmowy pytanie,
Wszelka bliskość spotkania znika.
W marmurach umysłu żalosne niesie się pojękiwanie,
O siłę moją i o przekonanie.
A niosłem dla was mego umysłu pracę;
Chodź wstyd palił mi policzki.

Czemuście tacy nieludźcy, ludzie?
Zarzućcie swe pytańniki na chwilę!
Kiedys chcąc wam żarliwie wyśpiewać pieśń moją,
Byłbym i wam te pytańniki pozakrzywiał!
Ależ byłbym nie bon ton!
Nie! Nie w ton.
Pobłażanie byłbym wzbudził.

A miłość moja całego mnie obejmuję.
Jestem sobie najczulszy, chodź drzę igrając ze sobą;
Sobię tylko będę,
Czy w skalnej grocie, ułożony na wilgotnym kamieniu.
Z pochodnią odkupienia i zapowiedzią powrotu;
Może w dźwięku ulicy zatopię się?;
Grzać się będę ciepłem przechodniów,
Chwytać ich nieczułą fasadę,
Lecz ten sam węglík w nas się tlić będzie;
Kiedy wy nałożycie sobie szarfy. „Ach miłe jest życie, czyż nie, Maestro?”
Tamten, ostro marzać brew w promieniach słońca, odeprze: „Ach wiesz przecież bracie, ile mnie te
uprzejmości kosztują”
Jaka mądrość to i jak smacznie podana! Dusiłbym ją w czerwonym winie ze śliwką...

...czy już stawiam pokornie kroki przy krawężniku wzdłuż?
Czy to już?
Czy to już?

Zwątpienie przekleństwem.

Czy lepiej stać w oknie białego domu?
Oddech psa na wnętrzu dłoni,
Morze dziś zcięte — chromowa tafla;
Czy oczy me też takie?
Łypię na psa,
Mrugnął.
O! Biegnij przed siebie, bestyjo! Węszyć między skałami śladów poprzednich żyć;
A złota tarcza niech natchnię Cię jeszcze raz miłością;
A biała ułoży do snu.

Odjazd

Elżbieta Łapczyńska

Kto zauważy, że cię nie ma, skoro cię nie ma? Od dawna się zastanawiałem, czy nie zniknąć. Dokładnie dziś odkryłem, jak to zrobić, by nikt nie zauważył. A nie jest to łatwe, kiedy jesteś najważniejszym człowiekiem na pokładzie Airbusa.

Kto zauważy, że cię nie ma, skoro cię ma, powtórzyłem w myślach zdanie zasłyszane dzisiejszego wieczoru w barze Red Alert. Poszedłem tam, gdy tylko wylądowaliśmy w Caracas, tak jak każdej środy i niedzieli od ponad roku. To do Red Alert kieruję najpierw moje kroki w tym mieście, nie zawijając nawet do służbowego mieszkania, żeby zostawić walizkę czy przebrać się z granatowego munduru pilota. Bywalcy wołają na mnie El Capitano, unosząc z uprzejmością swoje szklanki. Każdy z nich ma swoje ulubione miejsce w ciasnej sali, nad którą nie unosi się nic poza dymem, ochrypłymi wyzwiskami i przebojami lokalnych gwiazd. Z pociemniałych od smrodu i potu ścian spoglądają surowo Sylvester Stallone z karabinem, Jean Claude van Damme w rozkroku oraz Bruce Willis w brudnej koszulce. Pod ich okiem mogę spokojnie się zeszmacić po dwudziestu godzinach lotu i nieustannego zapobiegania katastrofie.

Tego wieczoru czekałem w kolejce na hemingwayowskiego Daiquiri i zastanawiałem się, czy i tym razem łysy barman zamiast rumu wleje mi wódkę. Ładę okupowało dwóch Europejczyków, choć co do jednego nie miałem pewności. Swoją karnację mógł przecież zawdzięczać tak samo włoskim, bałkańskim i wenezuelskim genom. Był jednak spasiony jak prawdziwy Latynos. Garnitur ze śliskiego materiału błyszczał mu na zgięciach łokci i wzdłuż ogromnych ud. Drugi nie zwracał na siebie uwagi strojem, lecz fryzurą, o tym samym połysku co garnitur pierwszego. Do jeansów miał włożoną różową koszulę, a na stopach coś à la buty, tylko z wywiniętymi noskami. To plasowało go również gdzieś między Cyganem a Latynosem. Pomyślałem, że trafili tu przypadkiem, zblądzili na szlaku czystych burdeli, chuć zaprowadziła ich w złą uliczkę i przepadli. Chętnie bym popatrzył na jednego z tutejszych chłopców, tego z wąsem, co to nigdy nie może usiedzieć na krześle, objającego im mordy. Upatrzyłem sobie nawet stolik, gdzie przy szklance Daiquiri mógłbym pooglądać tę przypadkową kaźń.

Gdy barman wyciska do mojej szklanki limonkę, zagaduje go ten z fryzurą. Łysy pochyła się do nich, jego czaszka lśni od potu. Parskają jak trzy hieny. Dalej rozmawiają i potrząsają głowami, nie starając się przekrzyczeć jęczącej w tle śpiewaczki. Łysy przesuwając po blacie szklankę w moją stronę, nie odrywając się od rozmowy. Pociągam łyk. Wódka. Otwieram usta, by w końcu powiedzieć mu, że nie jestem byle przyjezdnym z Europy, jak ci obok, podczas gdy mi wlewa podły spirytus, że obywatelstwo zdobyłem tu przez zasiedzenie, że mógłbym pójść do każdego baru w Caracas napić się porządnego alkoholu, lecz wybieram to miejsce z umiłowana prostoty i uczciwości, że cieszę się szacunkiem nie tylko mieszkańców tych przedmieść biedoty, ale i całego społeczeństwa, bo temu służę

i za nie odpowiadam, odpowiadam za każde jedno latynoskie dupsko, wierzące się z nudów, podczas gdy ja bez przerwy powtarzam w myślach procedurę bezpieczeństwa, kontroluję aparaturę i przeliczam parametry.

Jednak zanim udaje mi się poskładać to wszystko po hiszpańsku, jeszcze raz dławią się śmiechem, jakby wspominali wczorajszą imprezę. Albo śmiali się z faceta, którego wszyscy znają i z którego wszyscy się śmieją. Wtedy odwracają się w moją stronę.

– Ty jesteś ten El Capitano? – Grubego nie zdradza żaden akcent. Widocznie wyczytali z mojej twarzy zdziwienie, bo po chwili wyfryzowany gość się ożywia:

– No ten pilot to ty?

– Panowie wybaczą, czy my się znamy? – Przemilczam zniewagę. – Oczywiście z panem Eugenio widuję się regularnie – kłaniam się uprzejmie w stronę barmana – ale my nie mieliśmy jeszcze przyjemności. Kapitan Albert Choromański-Ryka.

– Tak, pan Eugenio nam o panu opowiadał. – Grubas imię barmana wymawia jakby kursywą. – Jestem właścicielem tego lokalu, a to mój wspólnik. Bardzo chciałem w końcu pana pilota zobaczyć, ale ciągle miałem pecha. – Spod fałd policzków ledwo widać uśmiezek.

– Bo El Capitano przychodzi tylko w środy i niedziele. W dni, kiedy u nas ląduje – wyjaśnia barman. Ignoruję ten ton i tylko poprawiam mundur. A on się uśmiecha i jest to straszny uśmiech. Odpowiadam mu tym samym.

– Owszem, wylądowałem w Maiquetii jakieś dwie godziny temu.

Zastygli, patrząc to na siebie, to w głąb zadymionej sali.

– I co, lot udany?

– Jak widać.

– No to zdrowie! Za wszystkie odloty pilota! – Gruby odwraca się do kolegów, ryczy, podgardle mu faluje. Tamci z opóźnieniem rechoczą za nim.

– Ciekawe, że wspomina pan właśnie o odlocie. Nie wiem, czy jest pan świadom, czym jest start samolotu. To znacznie trudniejszy manewr od lądowania. – Opieram się łokciem o bar i nachylam do nich. – Czy pan wie, jak to jest dro-bia-zgo-wo sprawdzać każde urządzenie, komunikaty z wieży i komputera, ciągle powtarzać sobie, że błąd oznacza śmierć trzystu ludzi? – Grubas sięgnął po szklankę, nie spuszczając ze mnie wzroku. – W końcu jedyne, o czym myślisz, to żeby zniknąć z tej pierdolonej puszki. Ale nie możesz, bo nawet jak znikniesz, to od razu zauważą. I zaczną cię szukać. Dzwonić za tobą do mieszkania, do hotelu, przypominać o trzystu uczciwych ludziach. Bo oni chcą dotrzeć do swoich domów. Bo oni chcą, kurwa, dotrzeć do swoich domów! Lot się opóźni, każda z tych trzystu osób będzie cię nienawidzić, przeklinać, bo tak bardzo chcesz je dowieźć do tych ich domów, do tego ich kraju komuchów, czerwonych kurew i nędzy.

Zorientowałem się, że stoję tuż nad głową grubasa, a on odchyła się do tyłu i wytrzeszcza świńskie oczy.

– Ale kto zauważy, że cię nie ma, skoro cię nie ma?

Cofam się o krok, a on przechyla się z powrotem do pionu. Upijam łyk. Wszyscy trzej gapią się na mnie, chociaż barman zaraz zaczyna niby wycierać blat. Jest mi gorąco, duszno i wirująco, wcale nie od wódki.

– Chyba czas na mnie.

Obracam się i ciągnę za sobą pustą walizkę, przeciskając się między pijanymi robotnikami z Huty Sendzimira. Przed barem czeka mój autobus: 139, kierunek Mydlniki.

Nie pytaj (fragment)

Marta Jankowska

Coraz bardziej jestem pewien, że z Anką wszystko się rozpadło. I dlatego tak mnie dziś wkurwia, kiedy Bolo ciągle nawija o Dagmarze, bo zaraz sobie to wszystko przypominam. Czaimy się w trójkę za trzepakiem, a każdy z nas bardziej przygaszony, niż zadowolony. Każdy więc przygasza tego petka, sześć pięćdziesiąt paczka, bo z maszyny. Bolo trochę o Dagmarze, ale więcej pluje, Czarek walczy z otwarciem butelki Harnasia. Jest piątek, a ja wychodzę z siebie, bo Anki ciągle nie ma.

Wszystko zaczęło się od tej przeklętej metalowej skrzynki. Anka przyniosła ją któregoś wieczora do domu, rozochociona na maksa, i sam już nie wiem, co bardziej błyszczało obietnicą tajemnicy – sama skrzynka, czy może jej oczy.

- Dzieciaki zakopały ją na tyłach garaży! - zakomunikowała mi radośnie.
- Co? Jakie dzieciaki?
- Nie wiem, no te z dołu, bliźniaki Garbaczowej!
- A Ty ją wykopałeś? Nie spodziewałem się, że moja dziewczyna jest taką psuj-zabawą...

Skrzynka była wyjątkowo ciężka, z wytłoczonym trójkątem na spodzie.

- Co one tam pochowały? Kamienie?

- Skarby! – Anka wydawała się niezdrowo nakręcona całą tą sytuacją.

Skrzynki nie dało się jednak otworzyć. Próbowaliśmy przez kilka dni, aż w końcu zaczęła znikać pod stertą poczty i zbędnych papierów rzucanych na komodę.

Ikiedy prawie już o niej zapomniałem – dwa tygodnie temu, Anka przyszła do domu z jakimiś typami. Trochę ortaliony, trochę czarne kreski pod oczami. Nie znałem ich, a Anka zamiast mi coś wytłumaczyć, zamknęła się z nimi w małym pokoju. Dopiero jak wyszli – zdałem sobie sprawę, że siedzieli nad tą skrzynką. Anka jednak nabrała wody w usta. Stwierdziła, że to nie moja sprawa i zaczęły się kłótnie, przeplatane dobrymi chwilami. W tych dobrych chwilach dużo się śmiała, a ja razem z nią, choć w oczach miała coś takiego dziwnego, jakieś leśne wizje wyrośniętych muchomorów, nie wiem, naprawdę nie wiem, co działo się w jej głowie. Miałem wrażenie, że jej usta ciągle układają się w słowo tajemnica. Po jednej kłótni, kiedy dużo płakała, a ja jeszcze więcej krzyczałem – wyszła.

- To co, stary, podrzucisz mnie wieczorem na Tuwima? – pyta Bolo.

- Sorry, mam coś do załatwienia – mówię, choć tak naprawdę nie mam nic. Pewnie będę leżał na łóżku, zapijał głupie myśli i oglądał *Breaking Bad*. Butelka wódki już chłodzi się zapobiegawczo w lodówce.

- Nie pierdol, nie będę przecież siedział z buta... - marudzi dalej Bolo. Mruczę coś niewyraźnie pod nosem, bo właściwie mam to w dupie. A potem zamiera mi serce, ale to dlatego, że widzę ją.

Stoi na przystanku, jakieś dwieście metrów od nas. I już nie słucham żalów kumpla, że nie będzie miał podwózki. Mam gdzieś milczenie Czarka, choć normalnie pewnie trochę bym się przejął. Odpalam kolejnego papierosa i tylko

patrzę. Na te jej niebieskie włosy. Zawsze ją rozpoznaję po tych włosach. Krótkie, wiecznie nastroszone, z fioletowymi prześwitami u spodu, tam, gdzie wypłukała się farba.

- Ej! – dostaję z łokcia od Bola.
- Co?
- Pytałem, czy Młody by mnie nie podwiózł.
- Chuj wie, sam go zapytaj.

Zaciągam się mocniej. Podejść, czy nie? Mam do niej tyle pytań, chciałbym dowiedzieć się, o co chodziło, czy miała kontakt z tamtymi, chciałbym zapytać jak się czuje i czy jakoś daje radę, bo przecież skręcam się wewnętrznie z niepokoju. Chciałbym też powiedzieć jej, że jestem tak zły, że ja pierdole i w sumie może to dobrze, że stchórzyła, zamiast ze mną porozmawiać i uciekła. Bo chyba uciekła, dlatego, że stchórzyła, ale przecież tego też nie wiem.

Bolo wyrzuca z siebie kolejne trzy monotematyczne zdania, które ucinam szybkim: „na razie” i już mnie nie ma. Idę w jej stronę i to prawie ten sam niepokój, co wtedy. I wtedy. Kiedy dzielą nas może trzy kroki, wpatruję się jak ogłuszony w te znajome włosy. Chwytam ją gwałtownie za ramię, coś tam bełkocząc pod nosem, ale kiedy się odwraca – nie spoglądają na mnie zielone oczy Anki. To Magda. W identycznych włosach, ubrana w dokładnie taki sam szary płaszcz, który zawsze nosi Anka, uśmiecha się do mnie zadowolona. I tylko ten uśmiech nie wydaje się być ani trochę znajomy. I znów mam wrażenie, że patrzę w oczy, które błyszczą od skrywanych tajemnic. Ale nim zdążę do niej zagadać – odbiega ode mnie, gdzieś pomiędzy bloki. Jeszcze bardziej wkurwiony i zdezorientowany, wracam do siebie. Na drzwiach od klatki wisi ogłoszenie i po raz pierwszy od wielu dni przystaję, żeby je przeczytać. Czytam. I czytam. A potem, już kolejny raz dzisiaj, serce mi zamiera. Zaginęły dzieciaki Garbaczowej. Ostatni raz widziane trzy tygodnie temu z dziwną skrzynką za garażami.

słowo
tajemnica

Łukasz Gamrot

Głód

Zwierzę mówi: głód.

Ja jest głodne.
Ja trzeba nakarmić.

Pokój pełny, lecz serce nie gotowe.
Podchodzi: zawiązać oczy, zatkać nos, rozebrać.
Serce już chętne.

Upewnianie się o rzeczach ważnych.
Jakim jest i ciało.

Ciało zabija się łatwo.
Otwierasz drzwi i idzie
W dół i w górę, mocniej, mocniej.

Później niewiele się pamięta.
Szorstkie brzuchy,
wilgotny papier, lepkie ręce.

Teraz ja jest pewne.
Mówi do ciebie kocham
i już obracasz się pod nim.

Zwierzę mówi: jeść.

Mewy

Ogień podszedł nad ranem. Uciekaliśmy w jego cieniu.

To są te chwile, kiedy rzeczy martwe chłoną twój strach.
Dojrzewają, prężą grzbiety i karki; patrzą.
Tak moja droga, te cienie były podobne –
blade i spocone.

Mężczyźni tłuką szyby, wyrabują drzwi,
później długo wymiotują.

Dzieci krążą i chłoną zapach spalonej krwi.
Dzieci już pełne i toną. Na dnie piasek, rtęć.
Można natrzeć powieki i wypatrywać reszty.

Kogo ujrzysz w potężnej gwieździe snu?

Ogień podszedł nad ranem. Uciekaliśmy.

Uciezki z chorego miasta II

Ludzie na starość osiedlają się za miastem.
Pakują swoje choroby i wyruszają ostatnim pociągiem przed świtem,
albo po zimie, kiedy noc skraca się wraz z ich bielejącymi snami.

To morze pod skurczone płuca podchodzi i śpiewa pieśń soli i tytoniu.
Kolejna potężna pieśń, której takty i oktawy wykasłują nad ranem,
kiedy świt, kiedy czas wyjeżdżać...

Przetłuszczone bilety znają suchą konstelację linii papilarnych.
Pamiętają rozkład dłoni i pośpieszne przejazdy palców.
Tutaj nie ma opóźnień, odczepiania wagonów, rozkradania torów.

W walizkach nie ma miejsca na improwizację.
Przygotowania rozpoczęto po pierwszych, nagłych pogrzebach -
oswajanych sprzętach i tresurach pożegnań.

Miasto opuszcza się ukradkiem, lecz w pośpiechu,
Mieszkań i bram nie trzeba zamykać.
Wzroku i słów nie należy odwracać.

Ludzi na starość nie trzeba prowadzić.
Znają rozkład dróg i niezmiennność światła nocy.
Udają się za poszarpaną linię brzegową ulic i twarzy.

Ludzie na starość osiedlają się sami, daleko za miastem,
w ciasnych kryjówkach, których stropy splecione są ze wspomnień.
Ogień podchodzi na ranem, kiedy noc już do białości wykasłana zostaje.

Pieśni, łaknienia

Wyciągam się z resztek szkliwa, które starłem nad ranem,
spomiędzy wilgotnych nacięć na pościeli, z rytmicznej pieśni
rozpalonych mięśni, z nagła zarzuconej śmierci.

Wygrzebuję się z pomiędzy siebie i kruszę się z jękiem
i pod sobą samym zapadam się i rozniecam ten wstyd,
jak ziarno siarki, na użytek spękanego łaknienia.

Wydłubuję się ze źrenic rozpostartych na ranach, co jak księżyc
zachodzą nad powierzchnią mojego głodu i z odpływem
suną przez skurczoną krtań sennego strachu.

Wynoszę się z pogorzeliska mojego ciała; przetaczam tlen, co
jak ciekły metan skrapla się w szpiku i wyje nad brzegiem krwi
pustej i ogłuchłej od dźwięku bielejącego lęku.

Wytaczam się na zewnątrz, wypływam w ściętym białku słowa,
z siebie samego wyrzucony zostaję i łapię się ostatnich nadziei,
że to nie koniec i było coś więcej.

Dolce vita

widzę moich kolegów zainteresowanych rozwojem osobistym
jak przyśpieszają w stronę kosmosu na zawodowej stopie
odbierających zasłużone premie i urlopy prócz talentu po trosze
płynące z regularnego trybu życia i zakupów w sklepie ekologicznym

jeśli rozbije się nade mną bańka natchnienia
natrę się nią jak pies obsraną trawą
póki co postanawiam zrewidować marzenia
i już niedługo stać się starą babą

Wspomnienie z dzieciństwa

stoję w skalniaku na podwórku babci
i prócz sikania w ten rozchwiany kanion
oglądam bajeczne podwórko sąsiadów
nowocześnie zdobione figurą z PCVu

sfinks ogrodowy jeśli można go tak nazwać
stał tam zupełnie tak jak swój pierwowzór
zwrócony na wschód i pomimo upału
od tysięcy lat pokazując cycki przechodniom

To nie jest żart

zwiedziłam wiele miejsc i widziałam niejedno
widziałam meksykańców którzy dodają limonkę do mizarii
uprawne pola ryżowe Japonii
i rozgrzane winogrona na francuskich polach
ale to w tym kraju
gdzie o kromkę chleba bez glutenu coraz łatwiej
w tym kraju gdzie wycofano wagony warsu z najtańszych pociągów
w tym kraju gdzie politycy głodzą dzieci do swoich kampanii
w tym kraju gdzie każdy chłopak w wieku poborowym trafia w końcu do kebebu
a na festiwalach posiłek wegetariański to ziemniaki i jajko
w tym kraju
żeby pisać o mięsie trzeba mieć duszę nadwrażliwca
żeby pisać o mięsie trzeba się najpierw umyć
uprasować koszulę wypastować buty
żeby pisać o mięsie poznać jego najdelikatniejsze miejsca
nabyć ogłady by wdzierać się do wnętrza konserwy turystycznej
nie jak do tłustej zmielonej papy
ale jak do kobiety

Laureatów
46. Famy GAZ-SYSTEM Terminal Sztuki
poznamy 26 sierpnia
w Amifiteatrze im. Marka Grechuty,
gdzie o 20.30 rozpocznie się koncert finałowy
„Wiwaty i kwiaty”
w reżyserii Władysława Sikory i Jarka Marka Sobańskiego.

Jury w składzie: Darek Foks, Janusz Grzywacz, Adam Kłoczek, Wojtek Kowalski, Jerzy Jan Połoński, Alicja Sawicka i Mateusz Urbański, przyzna nagrody i tytuły Laureata Festiwalu w poniższych kategoriach.

NAGRODA TRÓJZĄB NEPTUNA – 8000 zł brutto, fundator: GAZ-SYSTEM S.A. – Nagroda za NAJLEPSZE WYDARZENIE ARTYSTYCZNE festiwalu. Nagrodę otrzymują wszyscy twórcy oraz wykonawcy zwycięskiego projektu. Jest to nagroda interdyscyplinarna, może ją otrzymać projekt dowolnej dziedziny sztuki.

NAGRODA TRYTON – 8000 zł brutto, fundator: PREZYDENT ŚWINOUJŚCIA, JANUSZ ŻMURKIEWICZ – Nagroda dla NAJWIĘKSZEJ OSOBOWOŚCI ARTYSTYCZNEJ festiwalu / za NAJLEPSZĄ KREACJĘ ZBIOROWĄ festiwalu. Jest to nagroda interdyscyplinarna, może ją otrzymać podmiot artystyczny (osoba lub grupa), zajmujący się każdą dowolną dziedziną sztuki.

NAGRODA IM. MAKSA SZOCA – 4000 zł brutto, fundator: MARSZAŁEK WOJEWÓDZTWA ZACHODNIOPOMORSKIEGO, OLGIERD GEBLEWICZ – Nagroda za NIESZABLONOWĄ I KREATYWNĄ POSTAWĘ ARTYSTYCZNĄ. Jest to nagroda interdyscyplinarna, może ją otrzymać podmiot artystyczny (osoba lub grupa), zajmujący się każdą dowolną dziedziną sztuki. Nagradzane są: zaangażowanie w inicjowanie spontanicznych, oryginalnych działań, odwaga, przekraczanie granic dziedzin sztuki.

NAGRODA IM. MARIANA REDWANA w kategorii LITERATURA – 1500 zł brutto, fundator: ZIPSEE CYFROWA POLSKA – Nagroda przyznawana za poziom prezentowanych tekstów i całokształt prac związanych z literaturą na festiwalu.

NAGRODA IM. JANA SAWKI w kategorii SZTUKI WIZUALNE I MULTIMEDIA – 2000 zł brutto, fundator: ZIPSEE CYFROWA POLSKA – Może ją otrzymać osoba lub grupa, reprezentant jednej z następujących dziedzin: fotografia, film, sztuki wizualne, multimedia.

NAGRODA IM. ANDRZEJA JAKÓBCA w kategorii MUZYKA – 2000 zł brutto – Może ją otrzymać osoba lub grupa: zespół, muzyk-solista, wokalista.

NAGRODA IM. ROBERTA PALUCHOWSKIEGO w kategorii SZTUKI SCENICZNE – 2000 zł brutto – Może ją otrzymać osoba lub grupa, reprezentant jednej z następujących dziedzin: teatr, performans, taniec, kabaret.

NAGRODA IM. MARKA KASZA dla NAJLEPSZEGO DZIENNIKARZA festiwalu – 1500 zł brutto – Może ją otrzymać osoba lub grupa, reprezentant jednej z następujących dziedzin: dziennikarstwo prasowe, radiowe, telewizyjne.

NAGRODA LAMELAT FAMY za POPULARYZACJĘ ARTYSTYCZNYCH INICJATYW WŚRÓD MIESZKAŃCÓW ŚWINOUJŚCIA – 1000 zł brutto – Nagroda przyznawana osobie lub grupie, której zaangażowanie, pomysłowość i kreatywność w najwyższym stopniu przyczyniły się do popularyzacji festiwalu wśród mieszkańców Świnoujścia i w przestrzeni miasta. Jest to nagroda interdyscyplinarna, może ją otrzymać podmiot artystyczny dowolnej dziedziny sztuki (osoba lub grupa), animator kultury, dziennikarz, realizator festiwalu, mieszkaniec miasta.

NAGRODA ORGANIZATORA za POZYTYWNY WKŁAD W PROCESY ORGANIZACYJNE – 1000 zł brutto, fundator: BYLI I OBECNI DYREKTORZY FESTIWALU – Otrzymuje ją osoba, której pomoc, zaangażowanie, pomysłowość oraz skuteczność działania miały istotny wpływ na proces realizacyjny i produkcyjny festiwalu.

TYTUŁY LAUREATA FESTIWALU – Przyznawane wyróżniającym się uczestnikom festiwalu.

*** Jury może podjąć decyzję o nieprzyznaniu którejś z powyższych nagród.

*** Szczegóły całego postępowania konkursowego określa Regulamin FAMA 2016.



46. Fama
GAZ-SYSTEM
TERMINAL SZTUKI
ŚWINOUJSCIE 15-27.08.2016

dziękują za
wspólną zabawę!